BIBLIOTEKA
UMCS
LUBLIN

czas 2552/1978/1

Zwierzenia Janusza Laskowskiego

str. 8

BALKON

Edmund Pietryk str. 11

RZECZ POLSKA

Rozmowa z Sekretarzem Generalnym Towarzystwa Łączności z Polonią Zagraniczną „Polonia" Wiesławem Adamskim

ROK ZAŁOŻENIA 1933

kamena

LUBLIN 8 I 1978 Nr 1 (643) DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY CENA 3 ZŁ

MOTORYZACJA

Usługi do usług!

Maciej Podgórski

OSTATNIO jakoś mało słyszę o moralności i uważam, iż niemoralne jest, gdy się produkuje skrzynie biegów z pokrywami, które ciekną w wielu egzemplarzach 126p, a mechanicy powiadają nawet, że w co drugim, zaś na stacjach obsługi brak albo pokryw, albo uszczelek do nich.

Toteż proponuję zastąpić w dalszych wywodach słowo „niemoralne" wyrazem „normalne" i przyjąć, iż normalne jest, gdy klient „napiwkuje" mechanika, jeśli ten mu wykona naprawę szybko, solidnie i jeszcze od siebie coś poradzi albowiem klient widzi, jak mechanicy wyrywają sobie lub chomikują najprostsze klucze i narzędzia, których na stacjach niedostatek, co też normalne.

Normalne jest, gdy stacja obsługi sprzedaje części zamienne z robocizną, choć klient z robocizny nie korzysta, bierze detal pod pachę i szczęśliwy, że w ogóle go kupił, bo w sklepie brak, sam montuje w swoim samochodzie. normalne jest, że fabryczny tłok do syreny kosztuje w sklepach państwowych 95 zł, ale go nie ma, zaś w sklepach prywatnych, wyprodukowany przez prywatnego wytwórcę, kosztuje 620 zł, a cena oficjalnie zatwierdzona, choć tłok gorszej jakości i „puchnie".

Dokończenie na str. 6

Maksim Tank

* * *

Utraciwszy wzrok
Możesz o kiju
Znaleźć drogę do domu.

Utraciwszy słuch,
Jeszcze dosłyszysz
Skrzypnięcie drzwi twojej chaty.

Utraciwszy mowę,
Jeszcze z przyjaciółmi
Pogwarzysz we wspomnieniach.

Ale gdy utracisz Ojczyznę,
Będziesz jak kamień
Slepy i głuchy i niemy.

Z białoruskiego przełożył:
Jerzy Pleśniarowicz

Fot. R. Sieńko

Nasza praca chodzi sobie ulicą

Tadeusz Jasiński

Fot. Zb. Jaśkiewicz

PRAWIE każda z moich rozmówczyń i każdy z moich rozmówców prędzej czy później napomknął „chociaż teraz jesteśmy niedużym zakładem" „od dwu lat kiedy „Lubgal", stał się średnim przedsiębiorstwem", „właściwie to należymy do mniejszych fabryk w Lublinie, a nawet w całym przemyśle lekkim" „no, ale to nic, że nasza załoga liczy obecnie tylko 640 pracowników przy Wojciechowskiej i 250 chałupników, my i tak swoje robimy".

Nie wiem doprawdy, jest to tylko dobra pamięć po dużym przedsiębiorstwie wielobranżowym, które miało kilka zakładów przemysłu terenowego w różnych częściach miasta czy kompleks, objaw czegoś w rodzaju odczuwanej degradacji? Chyba jednak jest to poczucie historyczności, zdawanie sobie sprawy z granicznej roli daty sprzed dwóch lat: zostawiono wprawdzie dotychczasowe szyldy, zdjęto szyld telegraficznego dawnej galanterii, ale w rzeczywistości przejęły ją inne placówki gospodarcze. Zakłady Przemysłu Dziewiarskiego „Lubgal" zajmują się teraz jedynie tym wszystkim, co wiąże się z działaniami,

Dokończenie na str. 5

z notatnika

17 XII. Za miesiąc Lublin zaprezentuje się w Wiedniu — przedstawi swój dorobek kulturalny. Z tej okazji „Kamena" wydaje specjalny, ponadplanowy numer, cały w języku niemieckim. Chcemy zapoznać czytelnika austriackiego z przeszłością i dniem dzisiejszym Lublina, a także w pewnej choć mierze — Lubelszczyzny.

Co tu dużo mówić — ten numer kosztuje nas sporo pracy i ciągle drżymy, by chochlik drukarski nie pokazał swego pazurka w najmniej odpowiednim momencie. Nasi drukarze, aczkolwiek biegli w swoim zawodzie, do poliglotów nie należą. Linotypista, przelewając wiersz, usunie zaznaczony błąd, ale przy okazji zrobi inny, jeden lub dwa. I tak w koło Macieju. Dr Bożena Kowalowa z germanistyki UMCS i Janina Siemionowa, wypożyczona na tę okazję z korekty „Sztandaru Ludu", pracują już ostatkiem sił, ale najgorsza robota czeka je w święta.

Nadmiar bieżących zajęć sprawił, że w poprzednim numerze zabrakło już czasu na zapełnienie tej rubryki — Z notatnika. A pisałem kiedyś w tym miejscu o przygotowaniach do otwarcia wystawy w chełmskim WDK-u, poświęconej 80-leciu urodzin Kazimierza Andrzeja Jaworskiego, poety, tłumacza, pedagoga, założyciela „Kameny", a dla mnie po prostu — Ojca. Otwarcie wystawy nastąpiło 9 grudnia. Było mi szczególnie miło, że wśród zaproszonych gości — obok sekretarza KW PZPR w Chełmie, Ireny Kaczmarek, i wicewojewody, Tadeusza Sobolewskiego — znaleźli się przewodniczący WK FJN w Lublinie, Budowniczy Polski Ludowej, poseł Paweł Dąbek i prezydent m. Lublina, Stanisław Bora. W ostatnich latach swego życia Ojciec serdecznie zaprzyjaźnił się z posłem Dąbkiem. Z jego inicjatywy Prez. WRN podjęło decyzję o wydaniu zbiorowych dzieł KAJ-a — długoletnia praca, dorobek całego życia, została należycie doceniona. Doceniona tu, w Lublinie, bo warszawscy krytycy, nie licząc uszczypliwej uwagi KTT w „Kulturze", nabrali wody w usta. Ba — Witold Dąbrowski, Andrzej Mandalian i Wiktor Woroszylski, wydając w 1971 r. „Antologię nowoczesnej poezji rosyjskiej" (1880—1967), nie zamieścili a n i j e d n e g o tłumaczenia Ojca, aczkolwiek i c h tłumaczenia zajęły czołowe miejsca w antologii. Każdy z nich znacznie wyprzedził zresztą zarówno... Tuwima, jak i Pollaka. Przypominam to, bo wiem, że sprawa ta w swoim czasie bardzo Ojca zabolała. Jego — jednego z pierwszych tłumaczy Błoka i Jesienina. Gorycz osłodził mu zapewne Jarosław Iwaszkiewicz, pisząc w przedmowie do zbiorowego wydania: „Poezja rosyjska, ukraińska, czeska, słowacka nie była wówczas (przed wojną — przyp. MAJ) modna, a jednak jej głębie taiły w sobie prawdziwe skarby poetyckie: powinniśmy być wdzięczni samotnikowi z Chełma, redaktorowi z Lublina, że zwrócił naszą uwagę na te nieprzebrane bogactwa, poświęcił im swoje wolne chwile i stając w rzędzie najbardziej zasłużonych polskich tłumaczy współczesnych udostępnił nam poezję, o jakiej nasze „pięknoduchy" nie miały pojęcia."

26 XII. Święta w rodzinnym gronie, sporo czasu — przy telewizorze. Begin rewizytuje Sadata, spotkanie obu polityków w Ismailii. Egipsko-izraelska rozgrywka toczy się dalej w atmosferze narastającej opozycji w krajach arabskich, krystalizowania się postaw. Trudno żywić optymizm zwłaszcza, że tzw. przecieki na temat planu Begina nie wróżą niczego dobrego. Izrael kurczowo trzyma się starych pozycji, nie chce wycofać swych wojsk z zagarniętych siłą terenów, sprzeciwia się przyznaniu praw politycznych Palestyńczykom.

28 XII. Przemówienie Begina w parlamencie izraelskim, Knesecie, potwierdza, że Izrael jest nieprzejednany. Begin podkreśla z naciskiem, że nie może być mowy o militarnym wycofaniu się Izraela i z zasady suwerenności Izraela nad Zachodnim Brzegiem Jordanu i Strefą Gazy. Oświadczenie Sadata, że stanowisko Izraela uległo zasadniczej zmianie „gdyż obecnie Izraelczycy dobrze znają, jakie są ich granice terytorialne" — trafia w próżnię. Trudno bowiem w to uwierzyć, skoro zna się słowa Begina. A jego o s t a t n i e słowa są nad wyraz wymowne.

29 XII. Z wielkiej polityki do spraw daleko, daleko drobniejszych. Taki zresztą jest charakter tej rubryki.

Odwiedzili mnie w redakcji młodzi poeci, przynosząc osiem zbiorków poetyckich wydanych właśnie z funduszu Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego w Lublinie i zrealizowanych przy pomocy Zarządu Wojewódzkiego Socjalistycznego Związku Studentów Polskich, Wojewódzkiego Domu Kultury w Lublinie i Towarzystwa Miłośników Lublina. Bogusław Wróblewski wręczył mi swój zbiorek, opatrując go dedykacją: „Panu Markowi A. Jaworskiemu z wszelkimi serdecznościami i prośbą, by zajrzał na stronę 8 w dowód uczuć jednak przyjaznych." Zajrzałem. Dodatkową dedykację wpisał przy wierszu pt. „Uśmiech". Wiersz ten zaczyna się tak: „całuję pustkę w usta to sygnał wywoławczy gest z którego się narodzisz zmówilibyśmy się na uśmiech uległy ironiczny drwiący entuzjastyczny po co milczeć albo krzyczeć po co niszczyć lub ocalać przecież wszystko da się załatwić uśmiechem", a kończy znów tak: „przecież zanim zostaniemy adoptowani musimy się uśmiechnąć daj się namówić o tak od ucha do ucha od mózgu do wyrostka robaczkowego od końca do końca teraz ty też przyjęłaś warunki teraz rzeczywiście jesteśmy jedno. uśmiech śmiech rechot, całuję pustkę w rechocące usta". Ten wiersz — tak, to ja byłem przeciw — nie znalazł się w swoim czasie na łamach „Kameny". Mógłbym, równie złośliwie, odrzucić piłeczkę pingpongową i powiedzieć, by poeta sam sobie ów utwór dedykował, ale przecież w zbiorku są i inne utwory, w których nie ma mowy o całowaniu p u s t k i w usta, jak np. ten (szczerze mi się on podoba, nawet bardzo): „Odłupałem kawałek nocy /i schowałem za pazuchę/. Nieprędko wystygnie. /Zdążę dobiec do Ciebie/ i rozwinąć go w otulenie naszych ciał /Taki kawałek nocy/ pomieści tylko nas /jeszcze ciepły..."

Nie jestem krytykiem, pozostawiam ten chleb innym, ale zwykłym odbiorcą poezji. Coś może mi się podobać, coś złościć, a przy czymś z kolei mogę sobie porechotać. O wierszach, które ukazują się w „Kamenie", decyduje kierownik działu literackiego, choć, jak w każdej redakcji, ostatni głos należy do redaktora naczelnego, który za treść pisma odpowiada. Każdy z autorów ośmiu wspomnianych tomików, niezwykle zresztą nie tylko na warunki lubelskie, ale i ogólnopolskie — starannie wydanych, był prezentowany w „Kamenie" (na skrzydełkach jest „Kamena" wymieniana, ale zwykle na końcu przedstawianych tytułów czasopism, w których poeci uprzednio prezentowali swe utwory, niech tam...), sumienie mamy więc spokojne, umieliśmy ich wcześniej docenić. Ale... Drodzy Młodzi, czy nie śmieszą Was samych te ostatnie strony z waszymi zdjęciami i waszymi p o d p i s a m i? I czy dwa zdjęcia koniecznie musiały być z papierosem? Osobiście wydaje mi się, że podpis pod zdjęciem można składać, kiedy ma się lat, dajmy na to, sześćdziesiąt, a nie dwadzieścia dwa. I spory dorobek. „Prowincja noc" — powiedziałby o tym Czechowicz.

Recenzje o zbiorkach napisze krytyk, moje uwagi są na pozór marginesowe, boję się jednak, abyśmy Młodych zbytnio nie rozpieścili, jedna, dwie jaskółki wiosny nie czynią, a zbyt cieplarniana atmosfera jest dobra dla nowalijek, a nie dla poetów.

Niemniej w sumie inicjatywa cenna i godna poparcia. W przyszłości wolałbym jednak, by kolejną serię (ta jest pierwsza) Lubelskich Prezentacji Poetyckich przygotowali ludzie z zewnątrz, bo obok zdjęć z podpisami śmieszy również ta redakcja (tu nazwisko), ta konsultacja (tu nazwisko), zwłaszcza, że cztery tomiki redagował poeta, który sam obecnie zadebiutował. Oczywiście można i tak, ale po co?

Tyle na ten temat. Na razie przynajmniej. Mam prawo go poruszać, bo nie kto inny, ale właśnie ja w czasie niedawnego spotkania I sekretarza KW PZPR w Lublinie, Władysława Kruka, z dziennikarzami stwierdziłem, że prasa codzienna powinna bardziej popularyzować lubelskie środowisko literackie. Oczywiście po odpowiednich konsultacjach, bo przykład noworocznego numeru „Kuriera Lubelskiego"... Ale nie będę stawiać kropki nad „i".

Wieczorem kabaret „Czart" prezentuje kolejny program w „Czarciej Łapie". Oj, chciałoby się w przyszłości, aby nie czekać trzy kwadranse na rozpoczęcie spektaklu, chociaż względy finansowe kawiarni niejednego przekonują. Ten program, moim zdaniem, jest nieco gorszy od poprzedniego, a w pewnych fragmentach bardziej złośliwy niż dowcipny. Niemniej zabiegi niektórych „krytykowanych", którzy nie chcieli, aby ich w szopce uwiecznić (jeden nawet sprokurował odpowiednie pismo — curiosum) mogą tylko dziwić. Ostatecznie szopka to popularność, o czym dobrze wie Aleksander Rozenfeld i za co mu chwała. Przy okazji pragnąłbym jednak wtrącić swoje trzy grosze i przypomnieć, że są dziedziny, w których kabaret „Czart" wyraźnie odstaje. Czyżby w naszym budownictwie, w gastronomii, w usługach motoryzacyjnych — że wymienię przykładowo — wszystko było cacy-cacy? Oczywiście istnieją może obiektywne przyczyny, aby gastronomii w lokalu Gastronomii podległym nie skubać. Ale prawdziwa cnota przecież krytyk się nie boi!

31 XII. Ostatni dzień roku. Tygodniowa prasa dość interesująca. Jan Górec-Rosiński rozszopkował się: jest i w „Szpilkach" i w „Życiu Literackim" i we własnych „Faktach" — tam pisze najbardziej bezosobowo (własnego podwórka się nie rusza?). W „Szpilkach" i w „Życiu" powtarza nazwiska. Czyżby bez Putramenta i Sokorskiego szopka się zawaliła?

2 I. Nowy Rok minął. Prasa codzienna, która pierwszego stycznia, w niedzielę, się nie ukazała, przynosi szczegółowe relacje z pobytu w Warszawie prezydenta Stanów Zjednoczonych Jimmy Cartera. Sprawozdanie z konferencji prasowej, przemówienia Edwarda Gierka i Jimmy Cartera, wygłoszone na przyjęciu w Pałacu Rady Ministrów, wzajemne przypomnienie tradycji przyjaźni narodu polskiego i narodu amerykańskiego.

Edward Gierek mówi: „Żałujemy, Panie Prezydencie, że przybył Pan do nas na tak krótko. Pragniemy bowiem, by lepiej poznał Pan nasz kraj — kraj ogromnego postępu, a zarazem ciągle jeszcze przezwyciężający wiekowe zaniedbania. Naród nasz po największej tragedii w swych dziejach dokonał wyboru, który daje mu trwałe gwarancje niepodległości, suwerenności i bezpieczeństwa i stwarza najlepsze przesłanki rozwoju..."

A Jimmy Carter wypowiada charakterystyczne słowa: „Jesteśmy bardzo dumni z tego, że jesteśmy tutaj, w Polsce, i że mieliśmy okazję spotkać się i skorzystać ze spotkania z I Sekretarzem, Panem Gierkiem. Stali śmy się już bliskimi przyjaciółmi. Nauczyłem się od niego pewnych rzeczy, które mogę wykorzystać w moim własnym kraju..." I w zakończeniu: „Jest rzeczą szczególną, iż możemy wykorzystać przyjaźń polsko-amerykańską dla utrzymania jednego celu — pokoju na świecie."

Właśnie — pokoju. Kto, jak kto, ale cenę pokoju bardzo dobrze znają Polacy, znają Rosjanie. Wzajemne rozmowy pozwalają politykom nie tylko lepiej poznać się osobiście, ale i lepiej zrozumieć wzajemne poglądy. I jeśli prezydent Jimmy Carter mówi: „nasze pragnienie pokoju jest takie samo", należy te słowa powitać ciepło i życzyć sobie, by poparły je konkretne czyny.

3 I. Za sześć dni rozpoczyna się w Warszawie II Krajowa Konferencja PZPR. Czeka na nią cały naród. Bo decyzje, jakie na niej zapadną, spraw całego narodu będą dotyczyć. Na dziś i na jutro. Ale o tym — za dwa tygodnie.

MAJ

Charlie

MIAŁ 88 lat kiedy — on, „nieśmiertelny włóczęga" — odszedł na zawsze. Spoczął na małym szwajcarskim cmentarzyku oddalonym zaledwie o półtora kilometra od swojej posiadłości de Ban koło Corsieursur-Vevey. Zmarł w bożenarodzeniową niedzielę, o czwartej rano, kiedy nad wodami Jeziora Genewskiego przebrzmiały już echa wigilijnych kolęd, a nie ozwał się jeszcze głos świątecznych dzwonów. Odszedł tak cicho i tak zwyczajnie, jak odchodzili bohaterowie jego filmów — zwykli, prości ludzie w śmiesznych czarnych melonikach, w kusych marynarkach i za dużych butach, zabawni i wzruszający, a zawsze — o gorących sercach. Miał bardzo skromny pogrzeb: najbliższa rodzina i grono przyjaciół; nie więcej niż trzydzieści osób. Wśród nich — ambasador brytyjski reprezentujący królowę Elżbietę II, która przed dwoma laty nadała Zmarłemu tytuł szlachecki. Był także doktorem honoris causa uniwersytetów w Oxfordzie i Durham. Ale przede wszystkim był Charles Chaplin człowiekiem szanowanym, podziwianym i kochanym przez miliony ludzi. Nie tylko jako wielki aktor i reżyser, jeden z twórców nowej sztuki, ale jako wielki humanista.

Ze śmiercią Charlesa Chaplina zamknął się ostatecznie ogromny rozdział historii kina. Do tej pory kino wciąż jeszcze było sztuką tak młodą, tak niedawno powstałą; przecież ciągle nad wielkim szwajcarskim jeziorem żył niewysoki, siwowłosy człowiek otoczony gromadą dzieci, który był o pięć lat starszy od X Muzy! Kiedy bracia Lumière

rzucali na zawieszony w paryskiej kawiarni kawałek płótna migotliwy obraz nadjeżdżającego pociągu, Charles Chaplin, syn angielskiego aktora-śpiewaka i tancerki, dawał pierwsze, dziecinne „przedstawienia" na bruku robotniczych londyńskich uliczek. Kiedy w 1913 r. jako młody komik z zespołu Freda Carno trafił do Hollywood, stało tam kilkadziesiąt ogromnych baraków, w których — na planach zdjęciowych — trwała bezustanna, szaleńcza pogoń z udziałem słynnych „sennetowskich glin". Kino podbiło już miliony, ale wciąż było jarmarczną rozrywką. Dopiero skromny tramp z bambusową laseczką, Charles Chaplin, „Charlie", „Charlot" — miał je jako jeden z pierwszych wprowadzić w rejony sztuki.

W pierwszych zabawnych komedyjkach Charlie dawał odprężenie ludziom tkwiącym w okopach i na zapleczu I wojny światowej. W następnych, zaczął przemawiać w obronie zwyczajnego, prostego człowieka gnębionego przez rzeczywistość, w której przyszło mu żyć. Filmy Chaplina były pełne poezji, liryczne, ale były też oskarżeniem rzuconym w twarz tym, którzy byli odpowiedzialni za nierówność i niesprawiedliwość społeczną. Bawił i wzruszał, ale przede wszystkim zmuszał do myślenia. Charlie był kochany przez tłumy. Charlie był bogaty i sławny. Ale Charlie narażał się też wciąż możnym swojego świata bezkompromisowością, prawdą, która bije z jego filmów.

M. D.

RZECZ POLSKA

Rozmowa z Sekretarzem Generalnym Towarzystwa Łączności z Polonią Zagraniczną „Polonia", Wiesławem Adamskim.

— Pytanie o bliższe okoliczności powstania Towarzystwa „Polonia" pozwolę sobie poprzedzić przypomnieniem kilku faktów. Otóż w czerwcu 1945 roku nasz Rząd Tymczasowy oświadczył, mając na uwadze rodaków rozsianych po świecie z powodów wojenno-okupacyjnych, że „chcemy, by wszyscy wrócili, z wyjątkiem elementów faszystowskich". Kilka miesięcy później jeden z naszych ministrów poinformował generała Eisenhowera, że polskie władze państwowe przywiązują wielkie znaczenie do repatriacji, „bo każdy Polak jest nam potrzebny". Przy końcu tegoż roku generał Świerczewski stwierdził po prostu: „Każdy uczciwy Polak wraca jak najszybciej". W sprawie tej wypowiadał się również, w bardzo serdecznej tonacji, prezydent Bierut... Pamiętam, że jeden z najpopularniejszych plakatów lat powojennych, autorstwa Trepkowskiego, eksponował tę właśnie kwestię.

— W istocie. Prawdą jest, że zaraz po zakończeniu wojny władze polskie, jeszcze w stadium formowania się, wielokrotnie zwracały się do rodaków rozrzuconych po wszystkich bez mała kontynentach z apelami o powrót do kraju. Nowa Polska czuła się zobowiązana wobec tych ludzi, zmierzała do zjednoczenia narodu. Oczywiście, brano też pod uwagę względy gospodarcze. W rezultacie owych apeli — do roku 1950 powróciło do kraju 2 miliony 400 tysięcy osób, przede wszystkim ze Związku Radzieckiego, Francji, Niemiec, Anglii, Belgii. Znaczna część uchodźców wojennych pozostała jednak na obczyźnie w wyniku budzących nieufność do nowej Polski działań emigracji politycznej i administracji niektórych krajów zachodnich. A wcale niemała grupa po prostu wrosła w środowiska społeczne, w które rzuciły ją losy wojenne. Z czasem pojawiła się zatem potrzeba nawiązania i rozwinięcia łączności z tymi Polakami, którzy ze znacznie wcześniejszą, choćby międzywojenną, emigracją zarobkową tworzyli skupiska liczące w sumie kilka milionów osób. To niby prawda oczywista, ale raz jeszcze zwróćmy uwagę, że taka liczba ludzi pozostających poza granicami ojczystego kraju ma określoną sumę problemów i spraw, które bez względu na taki czy inny klimat w stosunkach międzynarodowych muszą znaleźć swoje organizacyjne ujście. Chodzi o to, że w Rzeszowskiem, Lubelskiem, na Podhalu, także w niektórych innych regionach trudno jest znaleźć rodzinę, która nie miałaby bliższych lub dalszych krewnych poza granicami Polski, a więc ludzi dążących z pobudek emocjonalnych czy bardziej rzeczowych do kontaktu z krajanami. Skala zjawiska wymagała opracowania aktywnej polityki w tym przedmiocie.

Powinniśmy też pamiętać że nasze życie ekonomiczne i społeczno-polityczne zostało nasycone określoną liczbą specjalistów, którzy powróciwszy do Polski pozostawili za granicą swoich towarzyszy pracy, czy walki o utrzymanie polskości, swoich bliskich znajomych. Oni właśnie bardzo często występowali z propozycjami powołania organizacji służącej łączności z Polonią. Ale okres „zimnej wojny" nie sprzyjał takim inicjatywom. Korzystniejsze warunki zaistniały w momencie pewnej normalizacji życia międzynarodowego, kiedy Polska zaczęła rozszerzać swoje stosunki kulturalne, gospodarcze, naukowe i techniczne z innymi krajami.

Towarzystwo Łączności z Polonią Zagraniczną „Polonia" powstało w październiku 1955 roku, opierając swoją działalność na dokumencie, który wyraźnie akcentuje patriotyczne motywy całego przedsięwzięcia.

— Czy o istnieniu Towarzystwa wiedzą wszystkie skupiska polonijne na świecie?

— Myślę, że informacja na ten temat rozrasta się z miesiąca na miesiąc, z roku na rok. Natomiast nie potrafiłbym powiedzieć, czy absolutnie wszystkie środowiska polonijne wiedzą o istnieniu naszej organizacji. Często zdarza się i tak, że korzystając z usług Towarzystwa nie orientują się, kto je autoryzuje.

W biografii „Polonii" są okresy chude i bogate. Do najbardziej dynamicznych należą lata po roku 1970, kiedy dzięki decyzjom politycznym i administracyjnym stworzono nie tylko odpowiedni klimat moralny, ale i warunki materialne, kadrowe i organizacyjne dla sprawnego funkcjonowania Towarzystwa. Wydajemy dużo materiałów informacyjnych, urządzamy wiele imprez — ale w świadomości naszych rodaków za granicą najważniejsze jest, że robi to Kraj. Miejmy odwagę powiedzieć, że — choć nie dajemy po temu najmniejszych powodów — pomawiani jesteśmy przez niektóre odłamy emigracji politycznej o działania indoktrynacyjne. No i szereg działaczy polonijnych unika podkreślania, że daną imprezę współorganizuje z Towarzystwem. Nie mamy o to żadnych pretensji, albowiem w naszym przekonaniu najbardziej istotne jest to, żeby rodacy przyjeżdżali do kraju i na własne oczy przekonali się, zobaczyli, co my tutaj robimy, jak żyjemy, jak budujemy Polskę, jak pielęgnujemy tradycję kulturową i rozwijamy życie społeczne.

Chciałbym przy tym zwrócić uwagę na bardzo pozyteczne zjawisko. Otóż w całym kraju powstało coś, co można by nazwać frontem działań na rzecz łączności z Polonią. Włączyły się do niego władze poszczególnych województw, uniwersytety, szkolnictwo, regionalne towarzystwa kultury... A my, oczywiście, odgrywamy w tym jakąś rolę, bo się na tych sprawach najbardziej, było nie było, znamy, no i zostaliśmy powołani do spełniania zadań rozwijania i pogłębiania łączności kraju z Polonią.

— A jakie motywacje kierują naszymi instytucjami i konkretnymi ludźmi w momencie podejmowania działań na rzecz Polonii? Jaką rolę odgrywa tutaj poczucie wspólnoty narodowej, a jaką przeświadczenie, że przy okazji będzie sobie można poszerzyć ścieżkę do świata?

— Jest niewątpliwym faktem, że Polska Ludowa może dziś bardziej niż kiedykolwiek zaspokajać różne zainteresowania i oczekiwania naszych rodaków z zagranicy; jesteśmy po prostu zamożniejsi, lepiej zorganizowani. Służymy młodzieży polonijnej określoną liczbą miejsc w uczelniach i szkołach średnich, stać nas na preferowanie turysty polonijnego oraz urządzanie licznych festiwali artystycznych, igrzysk sportowych, kursów, kolonii... Muszę powiedzieć, że owe działania wynikają przede wszystkim z pobudek patriotycznych, z uzasadnionej i wcale nie nuworyszowskiej chęci pokazania własnego dorobku Polakom z zagranicy, a za ich pośrednictwem — społeczeństwom krajów, w których mieszkają. Te wszystkie inicjatywy są też swoistym i wyrazistym aktem odwzajemnienia się oraz podziękowania Polonii za jej patriotyczną postawę wówczas, kiedy budowaliśmy zręby naszej państwowości, za jej moralno-polityczny patronat nad kwestią granicy na Odrze i Nysie...

— ... patronat niezależny od poglądów politycznych, przekonań ideowych, światopoglądu?

— Śmiem twierdzić, że tak właśnie. Przypomnijmy też, że Polonia walczyła z niesprawiedliwymi, z gruntu fałszywymi ocenami naszego wkładu w rozwój kultury i cywilizacji świata, z antypolskimi dowcipami — redagowanymi i puszczanymi w obieg przez nieprzyjazne nam środowiska i mass media niektórych krajów. Wspierała również Polonia takie wielkie i piękne przedsięwzięcia, jak „1000 szkół na Tysiąclecie", odbudowa Zamku Królewskiego, czy budowa Centrum Zdrowia Dziecka.

Jeśli zaś chodzi o owe „ścieżki do świata": takie motywacje u nas występują i nie widzę w tym nic dziwnego czy zdrożnego. Przeciwnie, każdy wyjazd zagraniczny o charakterze poznawczym jest pożyteczny dla Polaka, a jeśli na dodatek wiąże się z prezentowaniem naszej kultury, nie pozostaje nic innego, jak tylko sprzyjać owym wojażom.

Wspomniałem o kulturze: Polska, zdaniem nie tylko Polonii, jest w tej dziedzinie fenomenem w skali światowej. Zarówno jeśli chodzi o kultywowanie tradycji, konserwację zabytków, rozwój amatorskiego ruchu artystycznego i towarzystw regionalnych, jak i w sferze współczesnej twórczości profesjonalnej: muzycznej, plastycznej, teatralnej... Widz polonijny — obserwator występów „Mazowsza", „Śląska", Zespołu Tańca Ludowego UMCS, wystaw plastycznych — jest wyjątkowo wdzięcznym odbiorcą, a równocześnie dobrym propagatorem naszej kultury za granicą.

— Jak przedstawiają się związki Towarzystwa, konkretnie rzecz biorąc, z Polonią?

— Utrzymujemy kontakty z 580 organizacjami polonijnymi, z około 1300 szkołami języka polskiego i przedmiotów ojczystych, współpracujemy ponadto z 600 zespołami folklorystycznymi, teatralnymi, muzycznymi, sportowymi... Polonia posiada 65 programów radiowych i telewizyjnych oraz wydaje prawie 300 tytułów gazet i czasopism — więc dla potrzeb tego rodzaju instytucji i środków przekazu publikujemy wiele materiałów informacyjnych, m.in. tygodniowy biuletyn, który bardzo szeroko rozchodzi się w środowiskach polonijnych. Oprócz czasopisma przeznaczonego dla szerokich kręgów naszych rodaków — „Panorama Polska — Nasza Ojczyzna" wydajemy „Wiselkę", periodyk adresowany do nauczycieli i szkół polonijnych. Wielką popularnością wśród Polonusów cieszy się „Almanach Polonii". Stało się już tradycją, że Towarzystwo z dużym, bo dwuletnim wyprzedzeniem planuje i programuje swoją działalność. W takim właśnie rytmie wydajemy informator o imprezach i przedsięwzięciach organizowanych w kraju.

Najlepiej przecież informuje o Polsce człowiek, który choć raz odwiedził kraj. W 1976 roku gościło u nas ponad 500 tysięcy turystów polonijnych, z czego 29 tysięcy pojawiło się w warszawskiej siedzibie Towarzystwa. W tej ostatniej grupie było około 600 działaczy i przywódców organizacji polonijnych.

— Słyszałem, że otrzymujecie wiele listów z różnych krajów świata...

— Tysiące. Dotyczą one spraw prostych — ktoś na przykład prosi o jakiś ciekawy znaczek pocztowy — ale i bardzo ważnych: majątkowych, spadkowych, związanych z dokumentacją wykształcenia itd.

— Polonia to prawie 12 milionów osób rozsianych na obszarze całego globu. Czy zaspokajamy zapotrzebowanie tej wielkiej zbiorowości na polską książkę?

— Przekracza to nasze aktualne możliwości; wiadomo, jakie mamy kłopoty z papierem i poligrafią. Ale istnieje jeszcze jeden problem: językowy. Z oczywistych względów wydajemy i będziemy wydawać książki w języku polskim, ale zdajemy sobie sprawę, że kolejne generacje naszych rodaków coraz bardziej ulegają procesom środowiskowej asymilacji, a tym samym coraz gorzej władają językiem ojców. Prawdopodobnie dojdzie do tego, że nie będziemy mogli uznawać znajomości języka polskiego za kryterium przynależności do polskiej grupy etnicznej. Jest to oczywiście smutne, ale z drugiej strony zależy nam przecież — i uruchamiamy odpowiednie mechanizmy — aby Polonia znaczyła coraz więcej w życiu krajów, w których mieszka. Jeśli Polak chce mieć równorzędną pozycję np. w prasie, telewizji, uniwersytecie, to musi mówić np. po angielsku lepiej, niż Anglosas. Stoimy zatem wobec problemu, który zmusza nas do opracowywania w dwóch językach choćby podręczników do nauczania polskiego. Obok tekstu w naszym języku — jego tłumaczenie na angielski, albo niemiecki, francuski, portugalski lub hiszpański. A tymczasem odczuwamy brak tłumaczy.

Szczególnie ostro występuje ten niedobór w dziedzinie literatury pięknej, gdzie mamy do czynienia z językiem żywym, zmieniającym się szybko, stale wzbogacanym o nowe terminy, wyrazy i mianrz. Te trudności rozwiązujemy po części dzięki współpracy z takimi instytucjami polonijnymi, jak np. nowojorska Fundacja Kościuszkowska. Nasza strona przygotowuje tłumaczenie podstawowe, oni szlifują je do wersji ostatecznej.

Nie jesteśmy też zadowoleni z dystrybucji polskich książek, czasopism, filmów... Trzeba sobie powiedzieć jednoznacznie, że np. książka jest również towarem, ale nie tylko towarem. Że jest wartością kulturową, którą chcemy propagować. Jak wiadomo, na propagandzie nikt jeszcze pieniędzy nie zrobił, w związku z czym nie można patrzeć na sprawę wprowadzania polskiej książki w obieg zagraniczny wyłącznie od strony fiskalnej. A takie tendencje tu i ówdzie się pojawiają. Trudno się nawet temu dziwić: kraj potrzebuje pieniędzy. Ale zawyżanie cen książek niczego dobrego nie przyniesie. Niedawno byłem w Czechosłowacji: ceny polskich książek są tam absurdalnie wysokie — podobno w rezultacie błędu popełnionego w przeliczaniu walorów obu krajów. Zainteresowałem tą sprawą odpowiednie władze... Sygnalizują nam, że również w USA i Kanadzie polskie książki są zbyt drogie.

Mimo wszystkich trudności widzę możliwość znacznego postępu ilościowego w produkcji polskiej książki dla czytelnika w innych krajach. Racjonalizacji wymaga przede wszystkim jej dystrybucja.

— Czy w innych krajach socjalistycznych istnieją odpowiedniki Towarzystwa „Polonia"?

— Oczywiście. Najbardziej dynamicznie działają odpowiednie organizacje w Związku Radzieckim i na Węgrzech.

— Powracając na nasz teren: o ile wiem, problematyka polonijna stała się przedmiotem badań naukowych...

— I to na „najwyższym szczeblu", jako że znajduje się na liście rządowych problemów badawczych. W ramach Polskiej Akademii Nauk uformował się komitet do spraw Polonii zagranicznej, na uniwersytetach Krakowa, Poznania i Lublina istnieją zakłady lub instytuty zajmujące się tą tematyką.

— Jak oceniacie działalność Polonijnego Centrum Kulturalno-Oświatowego UMCS?

— Bardzo wysoko. W znacznym stopniu pozycja Centrum jest rezultatem dobrych warunków, jakie tej instytucji stworzyły władze polityczne i administracyjne miasta oraz województwa. Wcale niemałą rolę odgrywa tu też osobiste zaangażowanie w sprawę kierownictwa UMCS. Jak wiadomo, Centrum m. in. kształci nauczycieli polonijnych i organizatorów życia kulturalnego naszych rodaków, a zatem pracuje w najbardziej newralgicznych punktach łączności z Polonią. Zresztą coraz o nim głośniej w świecie, a absolwenci lubelskich kursów z dumą podkreślają fakt uzyskania dyplomu w Centrum, właśnie tutaj w Lublinie. Zwróćmy ponadto uwagę, że problematyka Polonii w Austrii i RFN została niemal opanowana przez Centrum, czego dobrym rezultatem są liczne publikacje oraz żywe kontakty Lublina z organizacjami polonijnymi w tamtych krajach, dokumentowane różnego rodzaju sesjami naukowymi czy popularnonaukowymi oraz wystawami i wydawnictwami.

— Właśnie: jak zauważyłem, przedstawiamy Polonii własny dorobek, ale także i równie często prezentujemy w kraju osiągnięcia naszych rodaków...

— Jest to jeden z podstawowych kierunków działania Towarzystwa. Wyrażam pogląd, że nikt inny poza krajem nie może być spadkobiercą wartości, jakie niesie dzieło, które choć powstało na obczyźnie, to sięga w taki czy inny sposób kultury polskiej i mieści się w kryteriach polityki kulturalnej naszego państwa. Chcemy więc, żeby dyrygenci polskiego pochodzenia występowali w Polsce, żeby odbywały się tutaj wystawy artystów plastyków, żeby w naszych księgarniach liczniej pojawiały się książki naukowe, prozatorskie czy poetyckie autorów z kręgu Polonii...

— Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał: Ireneusz J. Kamiński

PÓŁ WIEKU HISTORII

PIĘĆDZIESIĄT już lat działa Lubelski Oddział Polskiego Towarzystwa Historycznego, powołany 12 stycznia 1927 r. przez „20 nauczycieli, 10 pracowników naukowych i pięciu innych" Z okazji jubileuszu przeprowadziliśmy rozmowę z prof dr Kazimierzem Myślińskim, niegdyś prezesem Oddziału, a obecnie wiceprezesem Zarządu Głównego PTH i redaktorem naczelnym „Rocznika Lubelskiego" i z dr. Adamem Andrzejem Witusikiem, aktualnym prezesem naszego PTH.

„KAMENA": — Panowie wybaczą, ale powiemy szczerze, że Towarzystwo, które reprezentujecie, wydaje nam się nieco dwuznaczne. Oto bowiem licząc około 100 członków „zapisanych", jest wszędzie i stale obecne. Wystarczy przejrzeć anonsy w prasie miejscowej, wystarczy przypatrzeć się słupom ogłoszeniowym — wszędzie tam dominują zaproszenia PTH. A to wabicie ludzi na „Barwy dawnego Lublina", „Tajemnice lubelskich archiwów i bibliotek", zachęcanie na spotkanie z „Patronami lubelskich placów i ulic", to znów wyjeżdżanie się do miast makroregionu, aby przedstawić ich mieszkańcom „Sylwetki zamojskie" czy jakowąś historię „Z przeszłości Tomaszowa i Ziemi Tomaszowskiej", albo hrubieszowskiej. Niecała setka członków i setki odczytów, na ogół w obszernych cyklach!

Dr Adam Andrzej Witusik: — Proszę pamiętać, że mamy licznych sympatyków i współdziałamy z wieloma instytucjami, m. in. z Wojewódzkim Archiwum Państwowym w Lublinie czy Muzeum Okręgowym w Zamościu.

„K": — Kto może zostać członkiem PTH?

Prof. dr. Kazimierz Myśliński: Każdy, kto interesuje się historią. Inne kryteria nie wchodzą w rachubę.

„K": — Jaką rolę w środowisku spełnia dziś Towarzystwo?

K M: — Przede wszystkim integracyjną. Grupa ludzi profesjonalnie zajmujących się historią jest w Lublinie bardzo liczna. Do PTH należą zatem pracownicy naukowi UMCS i KUL, muzeów, Wojewódzkiego Archiwum Państwowego, bibliotek oraz nauczyciele. Równoległym kierunkiem działalności Towarzystwa jest popularyzacja wiedzy historycznej wśród szerokich kręgów społeczeństwa.

„K": — Interesują się obywatele historią?

AAW: — Organizowalibyśmy dziesiątki odczytów po to, aby wygłaszać je w pustych salach, dla własnej, wątpliwej zresztą uciechy?! Istnieje duże zainteresowanie historią, szczególnie własnego regionu. Ciekawe: im głębiej w tzw. teren tym ono rośnie. Nasze audytorium stanowią lekarze, prawnicy i przewodnicy PTTK, ale także urzędnicy. Cykl „Barwy dawnego Lublina" został „skonsumowany" przez setki osób.

„K": — Jednakowoż mówi się o kryzysie społecznym historii jako nauki...

KM: — Metody matematyczno-statystyczne, stosowane we współczesnej historiografii, z oczywistych względów nie zachęcają przeciętnego miłośnika tradycji do lektury książek, w których zastosowano ten właśnie, matematyczny, język wykładu.

AAW: — Jak inne nauki, specjalizacja dotknęła i historię.

KM: — Zdajemy sobie sprawę z możliwości i oczekiwań społecznych, dlatego też naukowy „Kwartalnik Historyczny" ukazuje się w nakładzie zaledwie 1000 egzemplarzy. Ale monografia Zwolenia miała 1500 i rozeszła się błyskawicznie. PTH jest jakby drugim nurtem aktywności poznawczej, nastawionym na popularyzację wiedzy.

AAW: — Jeszcze raz potwierdzam, że istnieje znaczne zainteresowanie historią. Proszę zwrócić uwagę, ile miejsca zajmują publikacje o tematyce historycznej w takich wielonakładowych periodykach, jak „Kultura" czy „Literatura". A prasa ma „węch", nieprawdaż?!

„K": „Kamena" także nie stroni od spraw i problemów historii. Ale, ale: czy zdaniem Panów historiografia nasza ma wpływ na kształtowanie świadomości narodowej?

KM: — Nie badano tego zagadnienia... Ale historiografia nasza zbyt często zmieniała optykę i interpretacje niektórych zjawisk i faktów z dziejów najnowszych i nie tylko z tego obszaru. Społeczeństwo potrzebuje publicznych akceptacji swoich dziejów. Na niewielkich Węgrzech jest bardzo dużo konnych pomników, przedstawiających zwycięskich bohaterów...

„K": — Proszę Panów, Lubelski Oddział Polskiego Towarzystwa Historycznego był gospodarzem X Powszechnego Zjazdu Historyków Polskich, wydał 20 tomów „Rocznika Lubelskiego" (ogrom materiału), kontynuuje publikacje monografii miejscowości, bierze żywy udział w przygotowaniach do 400-lecia Zamościa, urządza dziesiątki odczytów publicznych i sesje popularno-naukowe, integruje historyków skupionych w obu naszych uniwersytetach i innych instytucjach naukowych oraz kulturalnych — za tę wytężoną działalność prosimy przyjąć serdeczne gratulacje.

ZE WSPOMNIEŃ

Dni ostatnie i dni pierwsze

Jan Władysław Czarek

PEWNEGO zimowego wieczoru 1943 r. do Wilkołazu przyjechała samochodami żandarmeria z Kraśnika. Wziąwszy ze sobą miejscowego policjanta granatowego Goralewskiego i sołtysa Michała Kuśnierza, Niemcy kazali się zaprowadzić do mieszkania Pawła Chrzanowskiego, gdzie, jak oświadczyli, mieli ukrywać się partyzanci. W mieszkaniu zastali gospodarza, jego małoletniego syna, Jana, szwagierkę i sąsiada Jana Marca, który przyszedł do nich w jakiejś sprawie gospodarskiej. Reszta domowników była u sąsiadów i dzięki temu ocalała. Żandarmi bagnetami zakłuli Pawła Chrzanowskiego i jego syna. Następnie zastrzelili Jana Marca a szwagierkę zabrali ze sobą. Doprowadzili ją do szosy i tam też rozstrzelali. Makabryczny to był widok zbluzganego krwią mieszkania oraz leżącej na śniegu zamordowanej ciężarnej kobiety z podziurawionymi dłońmi, którymi zasłaniała się przed strzałami. A co dopiero mówić o widoku spalonych żywcem kobiet, starców i dzieci w Karpiówce pod Kraśnikiem...

Trzeba tu wspomnieć też o rodzinach gospodarzy Raka i Mroczka z Wilkołazu Dolnego, u których przebywali obywatele radzieccy, uciekinierzy z obozu jenieckiego. Trwało to dość długo, aż nadszedł wiosenny dzień tragedii. Niemiecka żandarmeria, poinformowana przez swoich szpiclów, otoczyła o świcie pierścieniem zabudowania i rozpoczęła swą haniebną robotę. Podpalono gospodarstwo ze wszystkich stron, a gdy ktoś próbował ucieczki, kule z karabinów maszynowych kładły ich trupem. W miejscu pięknego gospodarstwa pozostały popioły i zwęglone zwłoki polskich i radzieckich mieszkańców tego domu. [...]

Wschodni front przybliżał się z każdym dniem. Doczekaliśmy się wreszcie, że coraz więcej niemieckich urzędów opuszczało Lublin. Upłynęło jeszcze trochę czasu i drogi zaroiły się od niemieckich kolumn wojskowych, wycofujących się na zachód. Przez kilka dni z rzędu bez przerwy waliła ta masa wojsk, aby zająć nowe pozycje nad Wisłą. Teraz już w dużym popłochu cywilni Niemcy opuszczali Lublin.

[...] Wraz z odwrotem głównych sił niemieckich coraz szybciej cofały się grupy osłonowe. Teraz już wyraźniej było słychać działa artylerii i czołgów. W powietrzu niepodzielnie panowały samoloty radzieckie. Jednego dnia, kiedy przyszedłem do Lublina na spotkanie z łącznikiem „Skrą", ten mi powiedział: „Wracaj szybko do Dąbrowicy gdyż tylko patrzeć jak się rozpocznie wyzwolenie Lublina. Do tego wcale nie jesteśmy potrzebni". Więc wróciłem do Dąbrowicy (w lipcu 1944 r.).

Tego samego dnia kiedy się ściemniło, do drzwi mieszkania teścia ktoś zaczął się dobijać. Na pytanie „kto tam", usłyszeliśmy wezwanie w języku niemieckim, aby otworzyć drzwi, bo w przeciwnym razie dom zostanie zburzony. Nie było innej rady, otworzyliśmy. Do mieszkania weszło ośmiu oficerów SS zapewniając, że tu będą nocować. Zażądali również coś do jedzenia na kolację. Po kolacji pokładli się spać, ale nie wszyscy. Na zmianę jeden z nich stał z bronią w ręku gotową do strzału i pilnował, aby nikt z nas nie opuścił mieszkania. Skoro zaczęło się rozwidniać, zabrali teściowi konie z wozem i odjechali.

Po upływie jakichś dwóch godzin, kiedy z teściem dłubaliśmy coś tam w stodole, uchyliły się drzwi i stanął w nich radziecki żołnierz. „Gdzie Germańcy?" Odpowiedzieliśmy, że tu już ich nie ma, gdyż niedawno odjechali furmanką. „Kuda?" Wskazaliśmy mu kierunek. Żołnierz wybiegł natychmiast ze stodoły, a my za nim. Na dworze spostrzegliśmy, że nie był sam, lecz z całym oddziałem. Nie zważając na ulewny deszcz, pomknęli we wskazanym przez nas kierunku.

Nasza uciecha, że to już wolność, została za chwilę przytłumiona, bo od strony Lublina gruchnęły pociski artyleryjskie. Jeden z nich spadł około 200 m od naszych zabudowań. Drugi trafił w skład paliwa, znajdujący się w majątku Dąbrowica. Drewniana buda z wielkim hukiem wyleciała w powietrze. Nie wiedzieliśmy, co o tym sądzić, bo tam, skąd strzelano, było już wojsko radzieckie. Czyżby jednak Niemcy walili? Dopiero później dowiedzieliśmy się, że cofającym się niemieckim grupom osłonowym wojska radzieckie odcięły drogę na Warszawę. Wobec tego Niemcy skręcili przez pola na południe. I po nich to macała artyleria radziecka, a może polska. Bo już wieczorem widzieliśmy pierwsze oddziały wojska polskiego, przeczesujące nasze pola w poszukiwaniu rozproszonych i ukrywających się w zbożu Niemców.

Zanim jednak zobaczyliśmy polskich żołnierzy i mnie było danym przeżyć pierwszą i ostatnią akcję bojową. Po odjeździe radzieckich zwiadowców przyszedł do mnie Andrzej Korer mówiąc, że niedaleko stąd, w zbożu Tarachy, ukrywa się dziesięciu uzbrojonych Niemców w mundurach SS. Wypatrzył ich, kiedy jeden z nich skradał się do wsi po wodę. Natychmiast pobiegłem szukać członków miejscowej placówki AK. Po drodze natknąłem się na Pawła Zalewskiego, uzbrojonego w automat. Kiedy mu powiedziałem o ukrywających się hitlerowcach, zawyrokował, że „nie ma się co porywać na dziesięciu dobrze uzbrojonych i wyszkolonych SS-owców". On w tej chwili ma tylko dwóch uzbrojonych w karabiny partyzantów, więc nie ma po co porywać się z motyką na słońce. „Ale nastraszyć ich można — upierałem się przy swoim. — Zajść z czterech stron i strzelić parę razy, a potem wezwać ich do poddania się. Jeśli się nie uda, to najwyżej uciekniemy." „Dobra — zgodził się Zalewski. — Tylko z tym, że tę czwartą stronę zajmiesz ty, bo nas jest tylko trzech". Przeraziłem się. „A z czego będę strzelał?" Na to Zalewski: „A ot, z tego rewolweru, mnie wystarczy automat. Tylko nie przestrzel sobie czaki" — zaśmiał się i wręczył mi wielkokalibrowy bębenkowiec. „Nie musisz przy nim manipulować, tylko naciśnij cyngiel, ale nie wcześniej aż usłyszysz moje strzały".

Kiedy wydał polecenie pozostałym partyzantom, zaczęliśmy okrążać miejsce wskazane przez Kotera. Byłem cały spocony i rozdygotany. Pierwszy raz w życiu miałem zrobić użytek z broni palnej. Więc podkradłem się chyłkiem, kurczowo dzierżąc stale wysunięty do przodu pistolet. Kiedy szedłem do wyznaczonego miejsca, zatrzymałem się i zacząłem nadsłuchiwać. Czas dłużył mi się niemiłosiernie, a ręka drętwiała od ciężaru rewolweru. Wreszcie gdzieś z przodu zatrajkotała cała seria z automatu, a zaraz potem buchnęły strzały karabinowe. Wówczas, wytrzeszczając oczy, szarpnąłem za cyngiel. Nie wiem, czy zdrętwiała ręka obwisła, czy szarpnięcie pistoletu było tak mocne, grunt że pierwszy pocisk z mego pistoletu łupnął tuż koło butów, a ziemia rozsypała się po mojej twarzy. Druga kula powędrowała łem za cyngiel, ale strzałów już nie było. Po prostu dlatego, że w bębenku zabrakło nabojów. „Ale mnie urządził" — pomyślałem o Zalewskim. Całe szczęście, że Niemcy nie skierowali się w moją stronę. W tym czasie usłyszałem donośny głos Zalewskiego, wzywający Niemców do poddania się. Czując się zupełnie bezbronny, wsadziłem swoją „armatę" za cholewę od buta i ostrożnie zacząłem wyglądać, co tam się dzieje. Strzały z różnych stron musiały zdeprymować Niemców, bo po chwili zobaczyłem, jak wychodzili ze zboża z podniesionymi rękami, gdyż broń odrzucili. Widząc to, biegiem ruszyłem w ich stronę.

— A gdzie broń? — osadził mnie Zalewski.

— Za cholewą — odpowiedziałem.

— Ach ty, faitłapo... Za cholewą możesz nosić fajkę, ale nie broń...

— A co mi po niej. Wysłałeś mnie na pewną śmierć, dając pistolet bez amunicji.

— Całe szczęście, bo mógłbyś ukatrupić Twardowskiego. Widziałem, jak twoje świetlne kule leciały prosto na księżyc. No a teraz pozbieraj te niemieckie graty, tylko cyngli lepiej nie dotykaj.

Po zabraniu porzuconej broni kazaliśmy zrzucić mundury Niemcom, w których ku wielkiemu zdumieniu rozpoznałem tych, którzy spali u teścia w nocy. Widocznie nie udało się im daleko uciechać zrabowanym wozem. Teraz z zainteresowaniem spoglądali na Zalewskiego, a na mój całkiem niewojskowy widok ledwie hamowali wściekłość. No, ale musieli być posłuszni czujnym ruchom lufy automatu Zalewskiego.

— Co z nimi zrobimy? — zapytałem.

— A weźmiesz ich na kwaterę do teścia, dopóki jakie wojsko nie nadejdzie — odparł Zalewski.

— Tych szwabów brać na wyżywienie? To nie dość, że ich wczoraj karmiłem?

Na szczęście rozwiązanie przyszło samo. Gdyśmy zbliżali się do wsi, pędząc Niemców rozebranych do koszuli, nadjechał willys z żołnierzami rosyjskimi. Przekazaliśmy im jeńców oraz broń, która nam już nie była potrzebna. Przyznam się, że swój pistolet oddawałem z wielką ulgą — życząc sobie, aby już nigdy w życiu nie trafił do moich rąk... Ale kiedy potem u teścia kwaterowali żołnierze polscy i rosyjscy, a nawet generałowie (Popławski, Kleniewicz), kiedy już w mieszkaniu było aż czarno od dymu, bo teść całe 400 kg zapasowego bałonu oddał do dyspozycji wojska, wtedy nie raz chełpiłem się, jaką niepoślednią rolę odegrałem w czasie rozbrajania Niemców. Tylko żona spoglądała na mnie jakoś dziwnie, nie mogąc zapomnieć, że po tym „bohaterskim wyczynie" przez dłuższy czas wydobywała mi z oczu piasek.

Niedługo front przetoczył się nad Wisłę. Wzięci do niewoli Niemcy uprzątali trupy i gruzy z ulic miasta. Ludzie dyskutowali o Manifeście Lipcowym. Przy ulicy Spokojnej (dziś 22 Lipca) w Lublinie urzędował PKWN.

Jednego dnia obaj z teściem ubiliśmy dwa wieprzki i rzuciwszy za wóz powieźliśmy je do stołówki rządowej. Bo choć rząd ludowy wydawał dzienne dekrety, to na razie z dożywianiem tych dostojnych osób było bardzo krucho. Ale dla nas wojna już się skończyła, choć rzeczywisty finał miał nastąpić dopiero w maju 1945 r.

Nasza praca chodzi sobie ulicą

Dokończenie ze str. 1

Na nich właśnie skoncentrowała się uwaga załogi i jej kierownictwa. Takie słyszałem zapewnienia i wyczuwałem satysfakcję z nowych dokonań chociaż nuty nostalgii za tamtą przeszłością ukryć nie potrafiono. Zakładowy patriotyzm góruje jednak nad przeszłością, ponieważ rok 1977 kobieca przede wszystkim (mężczyzn tylko 135) załoga zaliczyć może do udanych.

— Dawniej robiliśmy bardzo długie serie — mówi mistrzyni działu konfekcji, Kazimiera Góra — ale naszym paniom potem już się nudziło. Nabierały dużej wprawy, umiały swoje czynności na pamięć, nic nie było do myślenia. Teraz każdy nowy wzór cieszy, bo się człowiek uczy. Krótkie serie, więc i przygotowanie niedługie, wciąż coś się zmienia, potrzebna jest większa koncentracja. Wynik jest dobry: w mieście teraz rzadziej można spotkać kobiety w takich samych sukienkach, bo asortyment jest bardzo zróżnicowany, mniej sztuk robimy według tego samego wzoru, ale za to wiele jego odmian. Przyjemnie gdy widzi się na ulicy, albo gdzie indziej dzieci i dziewczęta ubierające się modnie i to według pomysłów naszych projektantów.

Kierowniczka działu zbytu, mgr Zofia Denis, mówiąc o „lubgalowskich" golfach, spódniczkach, spodniach, sukienkach, żakietach i garsonkach przewidzianych dla dzieci i młodzieży oraz dla kobiet, przypomina mi, że aż 23 wyroby tej fabryki posiadają znak jakości, a garsonka nawet znaczek „Q", że na ostatnich Targach Krajowych w Poznaniu modelki lubelskich Zakładów Przemysłu Dziewiarskiego prezentowały siedem różnych kompletów z dzianiny czyli połowę tego, co pokazało Zjednoczenie Przemysłu Dziewiarskiego i Pończoszniczego w Łodzi, a przecież selekcja była bardzo dokładna i surowa. Czy jest coś dziwnego w tym, że „Pewex" w ramach eksportu wewnętrznego tak chętnie przyjmuje duże ilości modnych ubiorów z firmową metką „Lubgalu", że towary dodatkowo dostarczone handlowi lubelskiego regionu o wartości 9 800 000 złotych natychmiast zniknęły ze sklepów, że nawet w tym branżowym przy ulicy Wieniawskiej trudno nastarczyć wyrobów w pełnym asortymencie i spełniać funkcję patronacką? A eksport? Zainteresowanie duże, jednak znane komplikacje recesyjne Zachodu wyraźnie go w minionym roku utrudniły.

Obecna przy rozmowie Krystyna Dolecka, pełniąca funkcję przewodniczącej Zarządu Zakładowego ZSMP, upomina się o oddzielenie z tych prawie dziesięciu milionów całego miliona siedmiuset tysięcy złotych, które stanowią równowartość towarów oddanych klientom przez całą załogę w wyniku dodatkowej pracy. Sporo w tym dokonań młodzieży, bo aż 354 osoby spośród załogi to pracownice poniżej 30 lat, stanowiące prawie 57 proc. ogółu zatrudnionych. Do organizacji należą 204 dziewczęta i kilku chłopców; 12 proc. to kandydaci i członkowie partii, na młodzieży „Lubgalu" można polegać. Same tylko listopadowe zobowiązanie dało trzy tysiące poszukiwanych golfów, dużą wartość miała też produkcja przed krajową naradą aktywu robotniczego. Młodzi pozostawali ochotniczo na wydłużonych zmianach w soboty, nie żałowali niedzieli.

— Chcemy szyć tak dobrze, aby nam samym chciało się ubierać w wytwarzaną przez nas odzież. I tak jest: prawie każda dziewczyna od nas nosi coś na sobie z „lubgalowskich" wyrobów. Do dyrekcji wciąż napływają prośby, aby umożliwiła nam bezpośrednie zakupienie, szczególn. popyt jest na golfy, na modele sukienek. Jeżeli jednak dany model jest przeznaczony na eksport, albo do „Pewexu", spełnienie prośby pozostaje tylko marzeniem. W kontraktach bowiem zastrzeżono, że musi upłynąć pół roku od ostatniej dostawy, zanim coś z tych rzeczy może pójść do sklepów. Nie robi się bubli, więc każda dziewczyna, gdyby to było możliwe, pragnęłaby się ubierać wyłącznie u nas.

Kiedy potem rozmawiałem w Komitecie Zakładowym PZPR z I sekretarzem, Heleną Mazur, usłyszałem:

— Rok dobiegł właśnie końca, plan we wszystkich wskaźnikach został wykonany, a nawet nieco przekroczony. Teraz, przed II Krajową Konferencją Partyjną, okazało się, że wzmożone zadania, o których wiadomość do Warszawy zawozi nasza delegatka, Danuta Chadała, można będzie wypełnić głównie w oparciu o ZSMP, a zresztą, gdzie tu u nas można znaleźć starszych pracowników? Są tylko przed trzydziestką i po trzydziestce, starych nie ma. Wytworzył się u nas, w zakładzie szczególny klimat ideowo-moralny, ogromna jedność działania. To wszystko sprzyja ostatecznemu celowi, jakim jest dobra produkcja.

Tym samym odczuciem dzielą się ze mną także: dyrektor naczelny, mgr Czesław Wójcik, i jego zastępca do spraw techniczno-produkcyjnych, mgr inż. Eugeniusz Ploucha. Ten ostatni zwraca właśnie uwagę, iż 18-procentowy wzrost wydajności pracy w 1977 roku nie dokonał się na skutek inwestycji lub modernizacji, bo te zabiegi, i to gruntowne, przeprowadzono już w 1974 i 1975 roku. Teraz procentują. Postęp ten spowodowała lepsza organizacja pracy, wzrost kwalifikacji młodej załogi i jej pilność. Takie efekty można osiągnąć tylko wtedy, gdy wśród ludzi panuje dobra atmosfera.

Nieco inaczej patrzy na to zagadnienie kierowniczka działu dziewiarskiego, mgr inż. Stanisława Koska. Pełni ona zarazem społeczną funkcję przewodniczącej Klubu Techniki i Racjonalizacji, który przy „Lubgalu" działa już 15 lat. W roku 1976 racjonalizatorzy zgłosili 50 wniosków, a w ubiegłym tę samą liczbę. Większość tych wniosków nie tylko została wykorzystana w fabryce, ale i upowszechniona w całym przemyśle lekkim. To umasowienie sprawiło, że właśnie we wspomnianym roku 1976 w Turnieju Młodych Mistrzów Techniki „lubgalowscy" racjonalizatorzy zajęli drugie miejsce po takim kolosie, jak Fabryka Samochodów Ciężarowych, a przed „Agrometem". Z przemysłu lekkiego nikomu dotąd nie udało się osadzić tak korzystnie wśród konkurentów. Nie przypadkiem 17 grudnia na spotkanie z Edwardem Gierkiem został także zaproszony autor 130 pomysłów, Jerzy Przysiężniak. Inżynier Koska posłużyła się tylko jednym przykładem: zwykłej igły do włoskiej maszyny dziewiarskiej, którą z konieczności importowano. Wykonywanie obecnie, według pomysłu własnych racjonalizatorów, polskiej igły dało całemu przemysłowi dziewiarskiemu ogromne dewizowe oszczędności, zresztą także w złotówkach. Sam „Lubgal", odliczając starą cenę za igły importowane i obecną, zyskuje rocznie 700 000 złotych. Podobnie jest z niektórymi innymi częściami zamiennymi. Jest to zgodne z duchem współczesnych rozwiązań i idei II Krajowej Konferencji Partyjnej. Zresztą wszystko, co dzieje się w „Lubgalu", jest wyraźnie podporządkowane lansowanej obecnie polityce ekonomicznej. Chodzi tam przede wszystkim o wydajność i efektywność pracy, obniżenie kosztów produkcji, oszczędność i dobre wykorzystanie surowców wyciągnięcie korzyści z modernizacji maszyn i urządzeń, jaka tu miała miejsce, idzie bowiem o to, aby drogi import maszyn z RFN, Czechosłowacji, Włoch i NRD odpłacił się z nawiązką. Na każdym miejscu widziałem ponadto, jak tam ceni się czas pracy, jak możliwie najlepiej się go wykorzystuje.

Dyrektor Wójcik często wraca w naszej rozmowie do problemu asortymentu i jakości wytwarzanych dzianin. Przypomina, że kierownictwo zakładu i nadzór są nieustannie wyczulone na estetyczne wymagania rynku wewnętrznego i zagranicznego. Nie chodzi przecież, aby za wszelką cenę dać dużo towaru. Owszem trzeba oddać do dyspozycji handlu wiele różnorodnych dzianin, ale muszą one reklamować się wysoką jakością, bo dziś tę wartość określa również i przede wszystkim moda, atrakcyjność wyrobów. Między innymi dlatego z 40 wzorów wytwarzanych w lipcu pozostawiono dziś tylko jeden. Uczyniono tak nie z tego powodu, że tamte były źle oceniane przez klientów, ale po prostu już trochę się opatrzyły. Najlepiej widziane są krótkie serie, o których mistrzyni Góra mówiła, że każda nowość cieszy jej koleżanki. Tym bardziej, że rynek wciąż chłonie, woła nie tylko więcej ale i lepiej. O surowce niełatwo, ale można przecież stosować nowe mieszanki, zupełnie nieoczekiwane splоty, np. bistor z bawełną, albo z anilaną, ważne, aby nie poprzestać na dotychczasowym i szukać nowych rozwiązań.

— I my to czynimy — cytuję słowa dyr. Wójcika. — A przecież nasza cała produkcja wzrosła w stosunku do roku 1976 o 14,8 proc., rynkowi krajowemu mogliśmy dać więcej o 13,1 proc., a eksport zwiększyliśmy aż o 202,4 procent, w tym przede wszystkim do krajów kapitalistycznych. Nasza podstawa wyjściowa do rozpoczynającego się roku 1978 ma więc wyraźnie wyższą wartość, bowiem 100 proc. z końca grudnia jest większe od globalnej produkcji z lat poprzednich. Jeżeli więc powiem, że dynamika wzrostu produkcji wynosić teraz będzie 17 proc., że eksportować pragniemy o 600 proc. więcej, a handel krajowy otrzyma więcej naszych dzianin o 23 proc. niż w roku 1977, to wciąż należy pamiętać, że czynimy to bez dodatkowych inwestycji przy dotychczasowym poziomie zatrudnienia. To prawda, jest to także wynik zmian polegających na tym, że nie jesteśmy od nowego roku kooperantami, sami dawać będziemy więcej konfekcji gotowej. Jednak podstawowe przyczyny tych założeń planowych tkwią u nas, w naszej załodze, w jeszcze lepszym wykorzystaniu czasu pracy, usprawnianiu przez racjonalizatorów posiadanych maszyn, w doskonaleniu organizacji procesów wytwórczych.

Jeśli chodzi o zespół ludzki, to rozszerzamy go przede wszystkim w sferze pracy nakładczej. Nasi chałupnicy, którzy teraz zyskali te same prawa socjalne, co inni pracownicy, skupiają się głównie w samym Lublinie, w Chełmie, Opolu i Krasnobrodzie. Teraz mamy sporo zgłoszeń w Puławach, Kraśniku i Lubartowie. Tam przeszkolimy kilkadziesiąt kobiet, udostępnimy im odpowiednie urządzenia do produkcji odzieży na eksport. Zespół Szkół Odzieżowych w Lublinie w swoim dziale dziewiarskim wykształcił nam już wielu przyszłych pracowników, którzy w czasie nauki praktykują na tych samych nowoczesnych maszynach, na których potem podejmują u nas pracę. Dlatego właśnie chlubimy się otrzymanym Medalem Komisji Edukacji Narodowej. Ile fabryk w kraju posiada takie wyróżnienie? W roku, który minął, uzyskaliśmy też dyplom i II miejsce w konkursie „Zakład pracy pomaga szkole". Tak, pomagamy, ale dobrze czynimy przede wszystkim sobie. Nasza dewiza brzmi: jak najwięcej dla rynku i eksportu. Jeżeli jest dobre przygotowanie produkcji, to...

Właśnie o tej sprawie obszerniej rozmawiałem z mgr inż. Grażyną Grudzień — kierowniczką działu przygotowania produkcji. Znalazłem się nagle w salce, w której dziesiątki manekinów już teraz prezentuje wzory, jakie wchodzą do produkcji, a nasze panie będą je mogły nosić w drugim i trzecim kwartale. Niektóre z nich włożyły dziewczęta z „Lubgalu" i fotoreporter może je w „Kamenie" przedstawić już dzisiaj. Jaka elegancja, ile naturalnego wdzięku! W dodatku ceny umiarkowane. Od siedmiu lat wzory te projektuje artystka-plastyczka Maria Majdziuk, wiele pomysłów dokładają wypróbowani modelarze. Wartość produkcji zeszłorocznej wyniosła 182 mln, a zamierzona ma osiągnąć 215 mln. złotych. Skoro nadal chodzi o serie krótkie i różnorodność wyrobów, dział przygotowania produkcji musi obecnie tym bardziej mocno wyprzedzać praktykę wytwórczą. Zespół z tego działu to rozumie, mobilizuje całą swoją pomysłowość, choć sama technika i asortyment surowców każą nieraz okiełznać nieco fantazję.

Dziewiarka Kazimiera Wójcik, obsługująca nowoczesne maszyny czeskie, po jedenastu latach pracy widzi tak wielkie zmiany wynikłe z modernizacji i wzornictwa, że nie podejmuje się porównania obecnego z dawnym.

— Nadzór mówi nam: „Proszę tak robić, żebyście same chciały się w to ubierać". I u nas nie ma kobiety, nie ma dziewczyny, która by tego nie chciała. To znaczy, że nasze dzianiny są rzeczywiście dobre i modne. Człowiek patrzy w okno wystawowe i widzi swoją pracę, patrzy na inne kobiety, a ta moja praca chodzi sobie ulicą i jest ozdobą.

Tadeusz Jasiński

Fot. Zb. Jaśkiewicz

Usługi do usług!

Dokończenie ze str. 1

Ponieważ jednak w końcu jakoś jeździmy samochodami, więc na to wszystko można by spojrzeć również humorystycznie. Lecz gdy się chce dojść przyczyn tej wesołej sytuacji w naszych usługach motoryzacyjnych, wówczas kończą się żarty, a zaczynają się schody. I coraz trudniej zarobić na życie, chcąc pisać o polskiej motoryzacji.

Centrala „Polmozbyt" ma w Lublinie dwie odrębne firmy — „Polmozbyt" jako taki, działający w makroregionie środkowo-wschodnim, oraz Przedsiębiorstwo Obrotu Samochodami i Częściami Zamiennymi (POSiCZ), ogólnokrajowego hurtownika specjalizującego się w częściach dla rodziny fiata i warszawopodobnych. A więc dwie firmy, ale dowiedzieć się o nich czegokolwiek równie trudno, jak by ich było kilkanaście.

Dotyczy to szczególnie lubelskiego POSiCZ-u, którego dyrektor, Jan Kornacki, na początku grudnia był łaskaw stwierdzić telefonicznie poprzez swoją sekretarkę, iż informacji udzielić nie może, albowiem rok nie jest zakończony. Odpowiedź ta wydaje się na miarę Bokassy I, czyli bardzo poważna, i w tej sytuacji obawiam się nawet wskazywać dyrektorowi Kornackiemu na istnienie Uchwały Biura Politycznego KC PZPR z 22 lutego 1977 roku, która mówi o obowiązku udzielania prasie informacji — aktualnych i rzetelnych w dodatku.

Tedy do roli pozytywnego bohatera urasta Mieczysław Wasiewicz, zastępca dyrektora do spraw technicznych Okręgowego Zespołu Działalności Gospodarczej Polskiego Związku Motorowego w Lublinie. Dyrektor Wasiewicz udzielił mi informacji chętnie, bez krygowania się i zabawy w podchody, nie tając spraw trudnych. I do roli pozytywnych bohaterów urastają ci wszyscy inżynierowie i mechanicy, którzy mi udzielili podobnych informacji, lecz dalszych nazwisk wymieniać nie będę, albowiem obawiam się polowania na czarownice.

W każdym razie skoro pion „Polmozbytu" tak oszczędny w rozmowach z dziennikarzem, a szczególnie sfery kierownicze, można przypuszczać, iż oni mają coś wstydliwego do ukrycia. I faktycznie — jak słyszę — centrala „Polmozbyt" na tarczy, jeśli idzie o plan usług dla ludności w 1977 roku. Oczywiście, można by się zastanawiać, czy był to plan we wszystkim realistyczny, ale skoro nie chcą rozmawiać, nie ma sprawy.

Dosyć powszechne jest mniemanie, że usługi motoryzacyjne „leżą" w Polsce w związku z brakiem części zamiennych. Sporo w tym racji i producentami-kooperantami FSO i FSM warto by się odrębnie zająć. Ale nie mniej istotna kwestia to dystrybucja istniejących części. Jeżeli stacja obsługi zamawia trzy sprężyny zaworu zwrotnego pompy olejowej, a lubelski POSiCZ wmusza całe opakowanie z 50 sprężynami, to jasne, że dla innych stacji może w końcu owych sprężyn w ogóle zabraknąć. Kierownicy stacji ratują się w ten sposób: Ty masz tego za wiele, ja mam tamtego za dużo, wymieniamy. I samochody dostawcze kursują, zabawa droga i niepotrzebna, wynikająca ze zwykłego niechlujstwa w... myśleniu. Normalka.

„Polmozbyt" jest praktycznie jedynym w Polsce hurtownikiem samochodowych części zamiennych i jako taki faworyzuje „swoje" stacje i „swoje" sklepy. Stacjom spoza pionu „Polmozbytu" nawet autoryzowanym, a autoryzacji dokonuje samże „Polmozbyt", bardzo ciężko doprosić się o rentowne nadwozia dla powypadkowych „przekładek", ogumienie, akumulatory...

Zasadniczo w stosunkach między stacją obsługi a hurtownikiem obowiązuje nieelastyczny system kwartalnych zamówień na części zamienne. Zamówienie składa się na 45 dni przed rozpoczęciem kwartału! Trudno w takiej sytuacji przewidywać i zaspokajać codzienne potrzeby poszczególnych stacji. Toteż od jakiegoś czasu stosuje się metodę jednorazowych zamówień doraźnych. I znów słyszę że przyjęcie doraźnego zamówienia odbywa się na zasadzie: bliższa koszula ciału! A klienci czekają i klną, bo nawet te dobrze zaopatrzone „swojackie" stacje nie są w stanie wszystkich załatwić, nie mówiąc już o tych gorzej zaopatrzonych.

Naprawy samochodów w Polsce odbywają się głównie poprzez wymianę części, a nie poprzez regenerację. I to jest zresztą paradoks w sytuacji, gdy części brak! Lecz również, może w jeszcze większym stopniu, urządzeń do ich regeneracji. Stacja obsługi ma obowiązek zbierać zespoły i detale wymontowane z samochodów na gwarancji. Co pewien czas komisja z „Polmozbytu" decyduje, co z tych zbiorów nadaje się jeszcze do obrotu po obniżonej cenie, co zaś na złom. I tak jeśli zepsuje się tłoczek amortyzatora, trzeba złomować cały amortyzator, który jest całkowicie niesprawny i nikt go nie kupi, a przecież poza tłoczkiem wszystko w amortyzatorze sprawne!

Rozwiązanie tej sytuacji (amortyzator funkcjonuje jedynie na zasadzie przykładu) można by oczekiwać poprzez utworzenie jakiegoś centralnego przedsiębiorstwa, zajmującego się odzyskiem i regeneracją części. Byłoby to chyba zadanie dla Centrali Techniczno-Handlowej Motoryzacji „Polmozbyt", która jest koordynatorem ogólnopolskiego porozumienia branżowego w zakresie usług motoryzacyjnych.

Polityka niektórych przedsiębiorstw i hurtowni „Polmozbytu", choćby w dziedzinie dystrybucji częściami zamiennymi, sprawia, iż owo porozumienie, obejmujące również rzemiosło prywatne, jawi się niekiedy jako nieporozumienie, choć miało być jutrzenką lepszych czasów w usługach motoryzacyjnych. Pewne sprawy zresztą wymagają generalnego przemyślenia.

Oto opowiadał mi pewien znany rzemieślnik prywatny w Lublinie, prowadzący warsztat samochodowy, że teoretycznie jego zakład spełnia warunki dla otrzymania autoryzacji na określoną markę samochodu, i może takich w mieście znalazłoby się więcej. Ale gdy się dowiedział, że o wymianie „na gwarancji" każdej części o wartości ponad 700 zł musi decydować zbierająca się okresowo komisja z „Polmozbytu", to zrezygnował ze starań o autoryzację, ponieważ obliczył, iż dla przetrzymania samochodów oczekujących komisji musiałby mieć kilkuhektarowy parking. A ponadto dla zadośćuczynienia wszystkim wymogom papierkowym musiałby zatrudnić: księgowego, dwu pisarzy i zaopatrzeniowca.

Fot. J. Stępień

Biurokracja, szczególnie protokolarny rytuał przy naprawach gwarancyjnych, zżera również usługi uspołecznione. Czasem szybciej można się doczekać wykonania naprawy gwarancyjnej niż załatwienia związanych z nią papierkowych uroczystości. Znamy to i podskórnie odczuwamy, my klienci, jako wyraz nieufności gwaranta do stacji obsługi przez gwaranta zresztą autoryzowanej, a zarazem jako wyraz nieufności do klienta-użytkownika samochodu, czyli do nas, którzy moglibyśmy rzekomo wejść w jakieś niezdrowe układy porozumiewawcze ze stacją obsługi.

Obszar tej nieufności rozciągnął się obecnie na rzemiosło prywatne ze strony „Polmozbytu", choć polityka fiskalna państwa zapewnia rzemiosłu jak najpomyślniejszą perspektywę. Tak czy owak żaden prywatny zakład samochodowy nie ma jeszcze w Lublinie autoryzacji na jakąkolwiek markę. Zresztą powstaje problem, w jaki sposób hurtownie traktowałyby prywatne zamówienia na części zamienne. Tego rzemieślnicy obawiają się najbardziej, kto wie, czy niesłusznie?

Skoro naprawy odbywają się głównie poprzez wymianę części, a nie regenerację, to można by w przybliżeniu rzec, iż podstawowym narzędziem mechanika jest klucz. Z kluczami jest natomiast sprawa. Komplety, owszem, bywają, lecz pojedynczej sztuki nigdzie nie kupisz, i sytuacja przedstawia się, delikatnie mówiąc, na trójkę z minusem, a przecież te najczęściej używane klucze mają prawo złamać się i „wyrobić", co się i dzieje. Mechanicy różnie, mają swe prywatne klucze, podprowadzają sobie nawzajem...: Normalne sprawy warsztatowe — powiedział mi któryś z nich. Znów normalne!

Nie lepiej z innym podstawowym wyposażeniem stacji obsługi. Jednym tchem wymieniono braki — palników nr 2 i 3 do robót blacharskich, ściągaczy, części zamiennych do towotnic pneumatycznych, do podnośników „nożnie dymanych"... A już śmiech mnie zupełny ogarnął, kiedy mechanik naprawiający mojego „malucha" pożyczał ode mnie szczelinomierz. Jedna z największych stacji obsługi w Lublinie nie posiada najprostszego przyrządu do zbadania regulatora napięcia. Żadna nie posiada wymaganego do tego celu zestawu: alternatora, akumulatora, termostatu i silnika elektrycznego z płynną regulacją obrotów.

Ponieważ zasadniczo „Polmozbyt" handluje wyposażeniem dla stacji obsługi, więc może porozumiałby się jakoś z producentami, aby chociaż pojedyncze klucze i palniki dało się wprowadzić do obrotu.

Mówię o sprawach podstawowych i realnych, o tym, co już teraz dałoby się usprawnić na istniejących stacjach obsługi. W 1977 roku lubelski POSiCZ wydał „Technologię przeglądów gwarancyjnych samochodu fiat 125p", która zresztą nie dotarła jeszcze do wszystkich stacji objętych porozumieniem terenowo-branżowym, koordynowanym przez lubelski „Polmozbyt".

Jest to bardzo pouczająca lektura, z którą powinien się zapoznać każdy użytkownik „malucha", żeby wiedzieć, co mu się po prostu należy. A należy się bardzo wiele, między innymi sprawdzenie i ewentualne dokręcenie przy pomocy klucza dynamometrycznego kilkunastu rodzajów śrub i nakrętek (na żadnej stacji nie widziałem w użyciu klucza dynamometrycznego!), analiza składu spalin (kto to kiedykolwiek robił?), sprawdzenie układu hamulcowego (skoro nie wszystkie stacje autoryzowane na „malucha" posiadają rolki!) i tak dalej, i tak dalej.

Fachowcy twierdzą, że tkwi w tych wymaganiach pewna przesada. Może to i prawda. Ale przede wszystkim kto zadbał, żeby powyższa lektura wisiała na widocznym i dostępnym dla klienta miejscu w stacjach obsługi? A przecież centrala „Polmozbyt" w swoich „Wytycznych w sprawie zasad organizacji i funkcjonowania stacji obsługi samochodów..." (Warszawa, październik 1976) wyraźnie napisała: „Zakresy czynności przeglądów przedsprzedażnych i gwarancyjnych powinny być wywieszone na stanowiskach obsługowo-naprawczych oraz podane do wiadomości użytkowników pojazdów w pomieszczeniach obsługi klienta".

Czasem mi się wydaje, że ktoś tam w Warszawie ma perfidne poczucie humoru, albo nie zna zupełnie realiów terenu, skoro żadna w Lublinie stacja obsługi zasadniczo nie posiada biura obsługi klienta z prawdziwego zdarzenia! W każdym razie nigdzie w Lublinie zakresy czynności przeglądów nie wiszą, co najwyżej spoczywają w biurkach niektórych kierowników stacji.

Humorystyczne passusy z „Wytycznych..." centrali „Polmozbytu" można by cytować długo i właściwie żałuję, że tutaj zacząłem, gdyż „pali" mi się gotowy niemal felieton: „Wydany ze stacji obsługi samochód lub motocykl po naprawie powinien być czysty. W czasie obsługi lub naprawy pojazdu należy stosować pokrowce ochronne na błotniki i siedzenia". A te pokrowce to niby gdzie można kupić? Niech mi na razie zagwarantują pewność i terminowość napraw, a do końca życia nie będę miał pretensji o zabrudzone błotniki (gorzej trochę z siedzeniami, ale niech tam!).

Zamiast martwić się o pokrowce na siedzenia i błotniki, lepiej by „Polmozbyt" zadbał o rytmiczną i sprawiedliwą dostawę części do stacji obsługi, tak żeby każda mogła przejść na system prowizyjny wynagradzania pracowników i rozliczania kierowników przede wszystkim z samej robocizny, bez wliczania wartości zużytych materiałów i części.

Na razie tylko niektóre pracują w tym systemie, a jest on dla klienta bardzo korzystny, ponieważ preferuje usługi drobniejsze, jakich większość. Ale żeby tak pracować, trzeba mieć detale do wymiany i narzędzia na podorędziu, tymczasem niekiedy zwykła śruba o podwyższonej wytrzymałości, służąca do przykręcenia przegubu, staje się problemem, a uszczelkę pod głowicę 126p trzeba załatwiać na szczeblu dyrektorskim.

Sprawa niemal banalna — Polska motoryzuje się w bardzo szybkim tempie. W procentowym wzroście liczby samochodów będących w ruchu w latach 1971—1975 znajdujemy się w czołówce światowej (tak!) obok takich nowobogackich jak Arabia Saudyjska. Obecnie w Lublinie mamy ponad 16 tysięcy samochodów osobowych w rękach prywatnych (głównie: syrena, warszawa, 125p i 126p) oraz blisko 800 w sektorze uspołecznionym. Jeszcze w 1970 roku mieliśmy w mieście tylko około 6 tysięcy samochodów osobowych w ogóle.

To wyznacza potrzeby w zakresie usług motoryzacyjnych; i w sprawie rozwoju tych usług, budowy nowych stacji obsługi, ulg dla rzemiosła, wyszły w naszym kraju odpowiednie uchwały najwyższych władz. Jak się te krzepiące uchwały realizuje i jakie są perspektywy, to kwestia osobna, choć wcale nie prosta. Zacząć jednak wypada od najbliższego nam podwórka, po którym, wydawałoby się, stąpamy na pewniaka, aczkolwiek nie jest to prawda.

Maciej Podgórski

Kamena str. 6

Czasami ludzie czytają wiersze i płaczą...

Władysław Broniewski

Wiatraków nie ma więc...

Zygmunt Mikulski

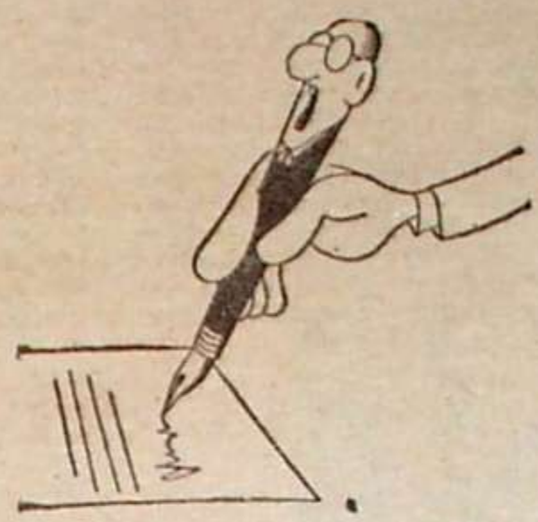

Rys. W. Fuglewicz

POCHODZĘ ze wsi i fakt ten ujformował mnie psychicznie. Bliżej ziemi, bliżej słońca, bliżej wody — taki jest wyróżnik mieszkańca wsi w stosunku do mieszkańca miasta. Otwarcie na świat biologiczne, nie przesłonięte konwenansem ani wytworami cywilizacji technicznej.

Tak mówi współczesny poeta, po czym prezentuje swoje awangardowe utwory. Co odpowiedzieć? Primo: że wieś już przestała być środowiskiem cywilizacyjnym i kulturalnym, secundo: że rodzaj twórczości sam zaprzecza tak przedstawionemu jego rodowodowi. Ale głównie do zauważenia jest trzecie. Oto wiejskie pochodzenie wciąż wymienia się w prezentacjach i dyskusjach, wciąż uważa się je za rodzaj nobilitacji literackiej i szczególnego posłannictwa. Wciąż. I chyba będzie jeszcze wtedy, kiedy wieś otrzyma asfalt, łazienkę w każdym domu oraz samosterujące się kombajny do uprawy roli.

Zastanówmy się: dlaczego w roku 1978, w 34 roku Polski Ludowej mamy jeszcze poetów podkreślających swój chłopski rodowód? Kiedyś to miało uzasadnienie. Było deklaracją akcesu do społeczności formującej się przeciw literackiemu ekskluzywizmowi pochodzeniowemu. Tak powstała np. „Okolica poetów". Ponieważ ta postawa przyniosła skutki korzystne, doczekała się prolongaty w warunkach politycznie odmiennych. Bo wprawdzie warunki polityczne stały się odmienne, ale pozostała jeszcze (może niezależna od czasów i ustrojów?) solidarność grupowa jako spodziewany warunek sukcesu. „Kupą mości panowie" — tym razem w wydaniu literacko-ludowym.

Zachodzi dziwne zjawisko. Jak do Stowarzyszenia Twórców Ludowych pukają o członkostwo młodzi piszący którym życiorys uniemożliwił kontakt z pracą na roli, tak o swym chłopskim pochodzeniu mówią różni lingwiści, konkretyści, fonogramiści, co już wyraźnie przyprzęga wołu do karety. Nie twierdzimy, że rządzi tym tylko chęć uformowania „grupy nacisku", ale jakiejś „pochodzeniowej orientacji", jakiegoś „wspólnego mianownika socjologicznego" — na pewno. Przy czym podświadomie działa tu i akcent polemiczny w stosunku do tych, którzy ze wsi nie pochodzą. Nie, proszę państwa, nie zmyślam. Każdemu biegnącemu miło jest pomyśleć, że wystartował z linii cofniętej. A jeszcze milej przypomnieć to innym. Choćby to cofnięcie było pozorne, jak na przykład dla roczników 1944 i następnych.

Wieś. Quam diu Catilina? Przecież ta wieś dumnie wymieniana jak herb już się każdemu nią szermującemu rozsypuje w rękach. Gdzie wiklinowy płot, gdzie żuraw, gdzie wiatrak? Takiej wsi ledwo okruch do okrucha zlepia skansen. I w ogóle po co cała zabawa? Marian Grześczak na spotkaniu z czytelnikami w Muzeum Czechowicza dnia 15 grudnia 1977 r. długo mówił o swym chłopskim pochodzeniu. Po czym zapytany odpowiedział, że nie napisał ani jednego wiersza o wsi. Można dodać, że ze świecą, a właściwie jarzeniówką szukać motywu wiejskiego w tekstach. Więc?

Ha! Że przejął postawę i przede wszystkim ona się liczy, choć nie jest wyeksplikowana realiami pejzażu, obyczaju. Zgoda, ale skąd przekonanie, że tylko ludzie ze wsi mają to otwarcie na świat, które warunkuje powstanie poezji? Nie bronię zakłamanych, zapędzonych za groszem mieszczuchów, ale przykładanie tu jakichkolwiek kategorii ekologicznych czy socjologicznych mija się z celem.

Czy minął się z celem również i wieczór? Jeśli przyczyni się do wmontowania w nasz pejzaż z powrotem paru wiatraków, na pewno nie.

Rys. W. Fuglewicz

Precz ze mną!

Stanisław Radomski

„NIE lada jakim wzwyż odjazdem milczący wzniosę się nad miastem, ptak i poeta frunę w gwiazdy" — pisał Horacy. Mickiewicz w „Odzie do młodości" wołał o skrzydła. Tuwim za poezję uważał „skok barbarzyńcy, który poczuł Boga". To dążenie ku górze, pragnienie spotęgowania własnej osobowości, chęć światła. Z czymś takim spotykamy się czytając poezję ubiegłych wieków i lat. Nie tylko polską. Co wydaje się naturalne, jako że wszelka twórczość wynika z wrodzonego każdemu człowiekowi dążenia do własnego uformowania świata. I wcale nie jest to ani egoizmem ani ograniczeniem. Wpływać na otoczenie — a *homo animal sociale est* — nie można inaczej niż z pozycji swoich pojęć, narzędziami swojego arsenału. Każdy z nas skazany jest na siebie. Jakże więc chcąc coś stworzyć można negować własną wartość?

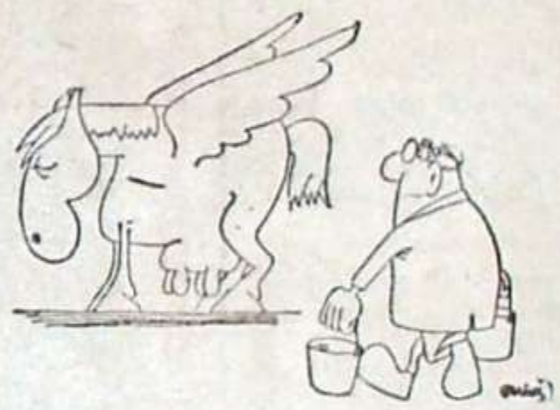

Rys. W. Fuglewicz

Oczywiście kontra: a „poeci przeklęci"? „Poetes maudits"? — jak ich nazywają Francuzi, a językiem obcym poręczniej, bo uczeniej się posłużyć. Owszem, można dodać jeszcze parę odłamów. Na przykład katastrofiści. Ale ani „przeklęci" ani wróżący zagładę światu, a w ramach świata i sobie, nie doszli do autonegacji. Negowali świat, negowali zastany na nim system wartości, negowali nawet możność poprawy — tak. Ale nie negowali siebie, gdyż byłoby to logicznie sprzeczne. Odrzucić by wtedy należało głoszone przez nich poglądy. Na których im zależało.

Natomiast co za kuriozalne zjawisko w poezji mamy dziś? Oto poeta sam siebie moralnie i intelektualnie unicestwia. Uważa, że napisał tym lepszy wiersz im więcej na sobie nawieszał psów. Mamy więc wyznania zboczeńców, pół-debili, nihilistów, schizofreników itp. Oczywiście — „wyznania artystyczne", nikt tego nie weźmie za element autobiografii. Ale ciekawe byłoby zastanowić się nad przyczynami tego masochizmu. Jest ich parę:

1. Poeta chce swoje słowa uwierzytelnić, a nie sposób nie uwierzyć temu, kto sam o sobie mówi źle.

2. Między autorem a czytelnikiem mimo wszystko istnieje jakiś dystans i to dystans w linii pionowej, więc autor oplugawiając siebie schodzi niejako z cokołu. (Zaznaczam, że cały czas referuję jego intencje).

3. Autor chce być podziwiany za krytycyzm, za zdecydowane stanowisko, a właśnie jakże jest ono krytyczne i zdecydowane, skoro tenże nie oszczędza nawet samego siebie.

4. Autor szacuje siebie za nisko po to, by czytelnik przyznał mu wyższą pozycję.

Na pierwszy rzut oka wygląda, że w tym ostatnim się pomyliłem. Że przeschematyzowałem, skoro autor godzi się na degradację. Ale co innego degradacja, a co innego autodegradacja. Przy tym drugim powstaje naturalny odruch przeczenia: „No, nie jest tak źle". I na ten odruch autor podświadomie liczy.

Ale tytuł absolutnego championa samounicestwienia osiągnęła Anna Świerszczyńska wierszem zamieszczonym w 30 numerze „Kultury". Tytuł aż można spaść z krzesła. „Mówię do siebie: ty ścierwo". Kto mówi? Świerszczyńska? Autorka „Orieusza"? Bohaterka czynionych swego czasu analogii ze zjawiskami kultury francuskiej, z Cocteau? Wierzyć się nie chce. Aż tak daleko sięgnęła maniera? Właśnie tytuł mówi wszystko, ale lojalnie przytoczmy choć fragment:

„Mówię do swego ciała:
ty ścierwo,
boisz się bólu i głodu,
boisz się przepaści.
Ty głuche, ślepe ścierwo — mówię
i piuję w lustro".

Wiersz jest kostropaty, skrościały. I wcale nie mówi mi tu, że właśnie dobrze, bo oto tak realizuje się jedność formy z treścią. Jest źle. A jeszcze gorzej, kiedy następuje taki ekshibicjonizm na czarno.

Oczywiście, można odwracać kota ogonem. Że „kto gardzi sobą samym, ten poważa jednakże jeszcze siebie jako wzgardziciela" (Fryderyk Nietzsche: „Poza dobrem i złem"). Można mówić, że autorka potraktowała siebie jako medium celem wyrypania prawdy każdemu. Że wreszcie w ten drastyczny sposób wykazuje, że pragnieniem swoim jest wyżej od owych tak znienawidzonych atrybutów, więc wiersz staje na linii poetyckiej ukazanej na wstępie niniejszego felietonu. Można mówić i krytyka literacka już nie raz podobne koziołki wyczyniała, a dedykacja Arturowi Sandauerowi ma tu swe całkowite usprawiedliwienie. Tylko mimo wszystko jest coś takiego, jak ucho i osąd czytelnika. Zawody z pluciem, jakie w młodszych klasach przeprowadzało się na odległość — kto dalej, obecnie przeprowadza się również na odległości — kto bliżej. Kto dokładniej, dosadniej, wspaniałej opluje samego siebie. Czy może był kiedyś taki okres w historii poezji polskiej albo światowej?

Wydawało by się, że uwagi powyższe zostały wypowiedziane z pozycji przewrażliwionego estety. Że nic łatwiejszego niż się oburzyć dając tym dowód nieznajomości współczesnego chropowatego życia. Sęk w tym, że kiedy poeci wieszają na sobie psy, na psy schodzi poezja. To nie domena słów o słowikach i strumykach, ale i nie teren artystycznej byleja-kości.

Czyżby ekonomiczna teoria, że pieniądz zły wypiera dobry sprawdzała się na terenie poezji? Na to wychodzi. Te wyprzodki w półobscenach, a niejednokrotnie obscenach całkowitych wymownie by o tym świadczyły. Chyba, że całą rzecz potraktujemy z przymrużeniem oka, a współczesną poezję jako dziedzinę humoru bez humoru. Co by zresztą było wybaczalne skoro tak g- mało również w pismach humorystycznych.

P.S. Czyście państwo zauważyli paradną reklamę telewizji? Coś takiego: „Wprawdzie ryby głosu nie mają, ale i tak wiemy, że sardynki są wspaniałą przekąską". Bo gdyby miały, to by mówiły, a gdyby mówiły, to tak: „Jesteśmy pożywne i smaczne. Jedzcie nas".

Kamena str. 7

DLA NOWEJ SZKOŁY

— Trzynastego i czternastego grudnia minionego roku odbywało się w Lublinie Kolegium Ministerstwa Oświaty i Wychowania, w którym brało udział niemal 200 osób z całego kraju: członków kolegium, teoretyków, pracowników wojewódzkiej administracji szkolnej, naukowców, wojewodów i wicewojewodów resortowych. Jakie problemy poruszono w czasie obrad, które podsumował minister Jerzy Kuberski? — pytam mgr. Eugeniusza Korolczuka, lubelskiego Kuratora Oświaty i Wychowania.

— Była to bardzo ważna narada, albowiem przyjęte na niej uchwały otwierają de facto praktyczny etap reformy polskiego systemu oświaty powszechnej, który opierać się będzie, jak wiadomo, na powszechnej szkole dziesięcioletniej. Rekomendując do zatwierdzenia plan i program nauczania w całej „dziesieciolatce", kolegium postanowiło, że już w nowym roku szkolnym 1978/79 nauczanie i wychowanie w pierwszych klasach szkół podstawowych opierać się będzie o nowe plany i programy. Klasy drugie i trzecie zostaną objęte tym systemem w kolejnych latach. Nowe treści i metody kształcenia będą ponadto wdrażane w klasach wyższych szkół eksperymentalnych. Warto w tym miejscu przypomnieć, że już w roku szkolnym 1976/77 w porozumieniu z naszym resortem i Instytutem Programów Szkolnych rozpoczęliśmy na Lubelszczyźnie eksperymentalne wprowadzanie nowego programu w 11 placówkach przedszkolnych, a od roku szkolnego 1975/76 w klasach pierwszych według programu szkoły 10-letniej — w Zbiorczej Szkole Gminnej w Przybysławicach i punkcie filialnym w Borkowie oraz w Szkole Podstawowej nr 6 w Lublinie, która zresztą posiada bogate tradycje na polu weryfikacji i doskonalenia nowatorskich koncepcji dydaktycznych. W bieżącym roku szkolnym do szkół eksperymentalnych włączono Szkołę Podstawową nr 6 w Puławach, Szkołę Podstawową nr 3 w Świdniku, Szkołę Podstawową dla Dzieci Niedowidzących w Lublinie. Podczas obrad kolegium niejednokrotnie akcentowało udział 95 nauczycieli lubelskich w inicjacji reformy oświaty. Trzeba też wiedzieć, że niektóre dydaktyczne audycje telewizyjne były realizowane na naszym terenie: w przedszkolach nr 8, 10, 12, 13, 15 oraz w Szkole Podstawowej nr 6 w Puławach.

— A jak przedstawia się kwestia wychowania przedszkolnego, stanowiącego wcale nie marginalny obszar reformy?

— Różnymi formami tego wychowania objęliśmy na Lubelszczyźnie 96 proc. dzieci z grupy sześciolatków. Znaczne odległości od przedszkoli i szkół, mała liczba dzieci w miejscowościach, w których działają punkty filialne, a także brak chętnych do podejmowania pracy pedagogicznej na wsi — oto główne przeszkody do stuprocentowego załatwienia problemu. Przewidujemy jednak, że w najbliższym czasie osiągniemy ten wskaźnik.

— Reforma stawia wysokie wymagania samym nauczycielom...

— ... toteż podnoszenie kwalifikacji jest czymś zasadniczym w naszych działaniach. Przeszkoliliśmy przy pomocy UMCS i IKNiBO, wszystkich nauczycieli i wychowawców pracujących z sześciolatkami, 1 300 osób obejmuje tzw. samokształcenie kierowane, oparte na zasadach zbliżonych do NURTU, setki innych kontynuują studia na poziomie akademickim.

— Ci ludzie niesłychanie harują!

— To prawda. Ale w tej chwili ponad 45 procent nauczycieli Lubelszczyzny posiada wyższe wykształcenie. Jest to wskaźnik wyższy od średniej krajowej.

— No a podręczniki — udręka nauczycieli zajmujących się ich rozprowadzeniem w szkołach. Wiadomo, z papierem krucho...

— Pierwsze klasy, objęte reformą, mają otrzymać komplet podręczników. Starsze mogą liczyć, w najlepszym razie, na przydział nowych książek w granicach 30 procent. Co robić? Oszczędzać, szanować podręczniki w szkołach.

— W jakimś stopniu pomyślna realizacja nowych programów nauczania zależy także od wyposażenia szkół w odpowiedni sprzęt i pomoce dydaktyczne, nieprawda?

— Wiele tu zależy od gospodarności placówek, od ludzkiego stosunku do mienia społecznego, wreszcie: od pomocy ze strony zakładów pracy. Istnieją szkoły, w których latami nie zachodzi konieczność wymiany sprzętu czy generalnej odnowy pomieszczeń. Istnieją szkoły, które owocnie współpracują z zakładami produkcyjnymi swojego terenu. W Trawnikach autobusy „Traweny" dowożą dzieci do zbiorczej szkoły gminnej, a ponadto pracownicy tego przedsiębiorstwa naprawiają, jeśli zajdzie potrzeba, instalację centralnego ogrzewania czy kanalizację w budynku, albo pomagają w urządzaniu izb i pracowni technicznych i przedmiotowych. Stara Szkoła Podstawowa nr 1 w Świdniku wygląda jak nowa — dzięki opiece WSK, której pracownicy nie dość, że wykonali wiele pomocy naukowych, wymalowali wnętrza i urządzili ogródek geograficzny, to jeszcze wycyklinowali podłogi. Gdyby taki model współdziałania upowszechnił się! Jeśli chodzi o proste pomoce dydaktyczne, to niejednokrotnie szkoły mogą je wykonywać we własnym zakresie, korzystając np. z wzornika, który w formie broszury prezentowano w trakcie obrad kolegium — obok zupełnie nowego sprzętu dla klas nauczania początkowego; jego zalety i, ewentualnie, wady sprawdzi Szkoła Podstawowa nr 6 w Lublinie.

— Próbujecie zapewne likwidować, czy przynajmniej niwelować różnice między bazą szkół wiejskich i miejskich?

— Oczywiście. Mamy 48 zbiorczych szkół gminnych, a wiele z nich posiada już całkiem przyzwoite wyposażenie. Dodam przy okazji, że idea tego rodzaju placówek sprawdziła się w praktyce. W obecnych warunkach są one najlepszym rozwiązaniem kwestii równania w górę poziomu edukacji. Trudności z dowożeniem do nich dzieci to mniejsze zło, niż powierzchowne kształcenie przez „pana od wszystkiego", które było regułą w małych szkołach wiejskich.

Rozmawiał I. J. Kamiński

Druga oferta estrady...

Mirosław Derecki

POLSKIE Targi Estradowe w Łodzi odbyły się w grudniu ub. roku już po raz czwarty. Ostatniej imprezie, której przebieg staram się obiektywnie relacjonować, nadano charakter szczególny: nie ograniczono się bowiem do prezentowania tylko typowo dochodowych imprez, przynoszących wysokie zyski, jak produkcje Maryli Rodowicz, „Skaldów" Andrzeja Rosiewicza, Jacka Lecha, „Czerwonych Gitar", itd. Organizatorzy: Łódzka Estrada i Stowarzyszenie Muzyki Estradowej oraz kibicujący im „Toto-Lotek" postanowili rozszerzyć targową ofertę o tzw. małe formy estradowe, monodramy, mini-programy poetycko-muzyczne — z myślą o takich kontrahentach, jak wojewódzkie domy kultury, gminne ośrodki kultury oraz te wszystkie instytucje działające na rzecz upowszechnienia kultury, które nie mogą sobie pozwolić na drogie zespoły lub nie mają odpowiednich sal. Z tą ideą wiązał się inny nurt Targów: prezentacja najciekawszych kabaretowych i estradowych zespołów studenckich oraz solistów, tudzież zespołów kabaretowych w ogóle i zespołów folklorystycznych. Wreszcie — miano zaproponować ofertę dla przedsiębiorstw gastronomicznych („rozrywka w gastronomii"), gdzie — jak się dowiedziałem z „Biuletynu Targowego" — rozrywka bije wszelkie rekordy. W 1976 r. zorganizowano w lokalach gastronomicznych 31 800 imprez rozrywkowych (to znaczy 15 razy więcej niż np. imprez na wsi, lub prawie 10 razy więcej niż imprez dla szkół), które obejrzało 3 miliony 941 tysięcy widzów. Targi, organizowane w porozumieniu z Ministerstwem Kultury i Sztuki, miały mieć tym bardziej pozytywny wydźwięk, że przewidziano podczas nich *cały szereg seminariów, m. in. na temat imprez w małych ośrodkach miejskich i na wsi* jak również dyskusję *na temat: „Dziś i jutro polskiej rozrywki" oraz sesję wyjazdową sekcji krytyki muzyki i estrady SDP.*

W związku z tym Targi rysowały się jako impreza operująca *materiałem dowodowym dla wszystkich fachowców, którzy chcą znać stan dzisiejszej rozrywki.* Program zapowiadał 35 pełnospektaklowych pokazów giełdowych na czterech scenach teatralnych. Na estradach spodziewano się około 600 wykonawców. Miało przyjechać 250 dziennikarzy i obserwatorów z kraju i zagranicy.

Było w czym przebierać i co „kupować", kontraktować, a my wszyscy, którzy wybieraliśmy się na Targi jako skromni tylko obserwatorzy lub żurnaliści, cieszyliśmy się dodatkowo z możliwości zwiedzenia nowo otwartego Night-Clubu Estrady — *nowoczesnego lokalu urządzonego w/g najlepszych wzorców europejskich (zautomatyzowane światła, kwadrofonia, stół mikserski, system kompatybilny stereo-kwadro).* Ale tak najbardziej, to robiliśmy sobie nadzieje na obejrzenie propozycji dla rozrywki w gastronomii. Niestety „oferta gastronomiczna" z niewyjaśnionych bliżej przyczyn nie została zaprezentowana, a zapytany na ten temat podczas konferencji prasowej dyrektor Jóźwiak odparł zwięźle: *Nie, nie przewidziano rozrywki dla gastronomii.* Nawiasem mówiąc, nie odbyły się również zapowiedziane seminaria, dyskusja oraz sesja sekcji krytyki SDP, z wyjątkiem narady przedstawicieli Ministerstwa Kultury i Sztuki, Centralnego Ośrodka Upowszechnienia Metodyki Kultury oraz przybyłych ze wszystkich stron przedstawicieli placówek kulturalnych.

Ogromna liczba imprez pozwalała na skupienie się tylko na jednym lub dwóch „nurtach" Targów. Wybrałem nurt może mniej efektowny, ale moim zdaniem najbardziej istotny: propozycje dla WDK-ów, GOK-ów, organizacji młodzieżowych, dla instytucji zobowiązanych do zapewnienia rozrywki na wczasach lub podczas wakacji. Przez cztery dni tkwiłem w Teatrze Rozmaitości, konsekwentnie — jako jedyny chyba z dziennikarzy — obserwując „mniejsze" formy estradowe.

Targi rozpoczęto w sposób sympatyczny, od zbiorowego wieczoru autorskiego znanych polskich satyryków — Antoniego Marianowicza, Marii Czubaszek, Anatola Potemkowskiego, Andrzeja Nowickiego, Ryszarda Marka Grońskiego i Adama Kreczmara. Był to nie tylko mini-festiwal inteligentnej satyry, ale zarazem przegląd stylów i „szkół" polskiej satyry w ciągu minionego trzydziestolecia. W Państwowej Filharmonii śpiewali „Novi Singers" i grał Zbigniew Namysłowski, zaś późnym wieczorem w Teatrze Rozmaitości wystąpili liczni, parający się „poezją śpiewaną" piosenkarze studenccy (lub z ruchem studenckim związani) z Nataszą Czarmińską i Janem Wołkiem na czele. Nataszę Czarmińską pamiętam z jej debiutu przed siedmiu laty na Przeglądzie Piosenki Studenckiej w Krakowie, kiedy to zdobyła pierwsze miejsce. Zachowała do tej pory styl, który zwrócił na nią uwagę już w tamtym okresie. Operuje wyszkolonym głosem o głębokim, dramatycznym brzmieniu i doskonale opanowanym warsztatem aktorskim. Pełne ekspresji piosenki Jana Wołka, bardzo dobry warsztat recytatorski, no i wysoka umiejętność gry na gitarze, powinny go stawiać w rzędzie najlepszych krajowych profesjonalistów estrady. Cały ten wieczór z udziałem jeszcze m. in. Małgorzaty Bratek, Macieja Dzierżawskiego i zespołu „Niebo" i inne wieczory, w których występowali piosenkarze studenccy z „poezją śpiewaną", oraz występy niektórych kabaretów studenckich należy potraktować z dużym uznaniem, z satysfakcją, że w ruchu tym na nowo odżywają charakterystyczne dla niego formy estradowe.

Inaczej było następnego dnia. Na małej scenie Teatru Rozmaitości wystąpił mini-zespół reprezentujący Stołeczną Estradę. Składał się ze śpiewaczki, recytatora oraz akompaniatorki. Takie trio mieści się w kategorii kulturalnych, „uniwersalnych" programów, które mogą być prezentowane wszędzie — począwszy od szkół podstawowych, na domach spokojnej starości kończąc. Może występować tam, gdzie tylko jest kawałek estrady a na niej pianino. Założenie z gruntu doskonałe, rzecz jednak w repertuarze i realizacji. W tzw. części słownej owego typowego „programu słowno-muzycznego" wiersze Gałczyńskiego, Tuwima — „Strasna żaba", „Lokomotywa" itp. — recytowane były przez starszego, kulturalnego pana ze staromodnym wdziękiem, ze zwracaniem uwagi na wykorzystanie efektów onomatopeicznych, z „oszczędnym" gestem ręki, z „artystycznym", lekkim przechyleniem głowy. Słowem mieliśmy przykład mówienia wiersza według szkoły sprzed lat dwudziestu i chociaż był to tzw. kawał dobrego starego warsztatu, przychodziły mi cały czas do głowy myśli o setkach recytatorów-amatorów zajmujących wysokie miejsca na ogólnopolskich konkursach, dysponujących doskonałym, współczesnym repertuarem i nowoczesną techniką recytacji, którzy wciąż przegrywają z profesjonalistami, bo nie mają „papierka", czyli weryfikacji. Nawiasem mówiąc, impreza miała iście „kameralną" atmosferę: na widowni siedziało dziesięć osób oraz bileterka. Potem wyszły trzy osoby, ale przybyła jedna. Koncert słowno-muzyczny zamknęliśmy liczbą ośmiu osób na widowni, w tym dwóch pań spośród organizatorów, jednej małej dziewczynki, operatora dźwięku i... mnie.

Z tej samej serii oglądałem propozycję Estrady Łódzkiej: pana, który reprezentował program uniwersalny już absolutnie: występował zupełnie sam, ze zmyślnym spektaklem mającym ukazywać przegląd kierunków i stylów satyry polskiej. Prowadził więc i konferansjerkę, i recytował co celniejsze utwory o szabrownikach, biurokratach i bumelantach. Inne tematy, jakie omawiał, to było lizusostwo w satyrze, asekuranctwo, satyra w wydaniu „kresowym" oraz satyra „wojskowa". Bardzo podobał mi się monolog o „ofermie batalionowej", o bokserze walczącym na ringu — z odegraniem w sposób bardzo „charakterystyczny" sceny walki i po walce. Artysta opowiadał

Kapela Marynarska

również dowcipne anegdotki, na przykład dlaczego marszałek Kutuzow nosił czerwoną koszulę a Hitler żółte spodnie... Powoli zacząłem się orientować, że tutaj uniwersalizm programowo-artystyczny osiągnął szczyty: program mógł być wykonywany wśród żołnierzy i dzieci szkolnych, starców i osesków, osadników i historyków wojskowości. Jednym z mocnych końcowych akcentów była fraszka *„Entlicek pentlicek /Cerwony stolicek/ A pod stolickiem lezy /Nas tatusicek/"*. Daliśmy należne brawa, a ja wyzbyłem się kompleksów wobec dzisiejszej młodzieży. Dostaje ona wszak przy starcie w dorosłość taką samą porcję estradowej rozrywki, jak moje pokolenie za czasów słynnego „Artosu".

W dużej sali Teatru Rozmaitości katowicka WAIA prezentowała muzyczno-estradowo-kabaretową składankę: „Nowowiejski Show". Przez te dwie godziny trwała doskonała zabawa. Kilkunastoosobowy zespół dawał *rewię humoru RETRO i nie tylko*, z udziałem piosenkarek, konferansjerów, parodystów i zespołu muzycznego. Były też tańce — rock and roll. Najbardziej podobały mi się dowcipy o bigbitowcach, o muzykach *w porteczkach opiętych na tyłeczkach*, ryczałem ze śmiechu, kiedy przy słowie „hipisi" padał komentarz: *o, o, ... pisi pisi*. Szczególnie przypadła mi do gustu stara piosenka o panu Hilarym, który chociaż już stary, wszystkim dziewczynom kręcił gitary i chociaż miał nie bardzo dużego bączka, to ten bączek każdemu uczciwie służył. I o tej pannie co to: *Odtąd się bączkiem stale bawiła, rano i wieczór bączkiem kręciła*. I kiedy zespół śpiewał na zakończenie chórem, z towarzyszeniem decybeli: *Kto was będzie tak bawił, jak my?... Żegnajcie, żegnajcie i wspominajcie nas!*, to dałem sobie solenne przyrzeczenie, że... przy każdej okazji... oczywiście! Nawiasem mówiąc, zespół ten reprezentuje naprawdę wysokiej klasy warsztat zawodowy, jest „dotarty", dograny, widać prawdziwe rzemiosło. Niestety na rzemiośle się to wszystko — przynajmniej w tym programie — kończy.

Prawdziwą też frajdę miałem w czasie oglądania „Kapeli Marynarskiej", występującej pod patronatem Estrady Łódzkiej podczas wieczoru zatytułowanego Polska Estrada Folklorystyczna. Podkształciłem się odpowiednio na artykule w „Biuletynie Targowym" („Folklor przedmieść czy kabaret?") na temat specyficznego nurtu w rozrywce, tzw. „kabareto-kapel", w których *piosenki poza dowcipem słownym opierają się na aktorstwie charakterystycznym, zaskakującej puencie, pastiszu typowych schematów czy znanych przebojów muzyki pop* oraz — jakichś rejonów *które wszakże okazują się być bliższe kabaretowym realiom niż etymologicznym zależnościom*. Tak więc oglądając na estradzie grupę sympatycznych chłopców nie mających pojęcia o aktorstwie, przyjmowałem z przekonaniem ich produkcje, a m. in. dowcip o panu, który wszył sobie do spodni surwak logarytmiczny, żeby łatwiej wyciągać... Ha! Ha! Ha!... Pierwiastek!

Pokazano też przecież w Teatrze Rozmaitości „małe formy dramatyczne" naprawdę wysokiej klasy, jak choćby „Promethidion" Norwida w wykonaniu Henryka Boukołowskiego w ramach jego Teatru Adekwatnego czy monodram oparty na poezji Stanisława Grochowiaka: „Epilog w stearynie", prezentowany przez Olgierda Łukaszewicza. Ogromne wrażenie zrobił na widzach doskonały spektakl Teatru Faktu i Publicystyki, któremu patronuje Estrada Łódzka, zatytułowany „Kwartet C-dur" mówiący w przejmujący sposób o zbrodniach hitlerowskich dokonanych na polskich dzieciach w więzieniu w Lubawie pod Olsztynem. Aktorstwo zredukowane do minimum; „gra" — przede wszystkim tekst — utrzymany w konwencji listu do żyjącego dzisiaj w RFN byłego komendanta więzienia, Lagerfuehrera Klugego. Tekst napisany przez jednego z pozostałych przy życiu więźniów, oraz autentyczne zdjęcia obozowe: zdjęcia dzieci w więziennych pasiakach i ich oprawców — rzucane na ekran w głębi sceny. Program wstrząsający, wart pokazania na jak największej liczbie scen i estrad. Zupełnie inna, ale też godna obejrzenia propozycja to pokazany przez wrocławski oddział Polskiego Stowarzyszenia Jazzowego recital interesującego pianisty jazzowego Henryka Słaboszewskiego, uzupełniany projekcją niemych komedii filmowych z Haroldem Lloydem i Charlie Chaplinem. Dodatkową atrakcją tego programu jest osoba prezentera, łysego brodacza Romka Uklańskiego, jednego z filarów starego „Kalambura" i w ogóle wrocławskiej „postaci". Trzeba wreszcie odnotować występy Teatru „Eref" z Krakowa i Teatru im. C. Norwida w Jeleniej Górze, który dał program kabaretowy oparty na tekstach Jana Pietrzaka: „Po to jest kabaret". Wreszcie — prawdziwym wydarzeniem artystycznym był w Filharmonii, koncert zespołu „Mainstream" (m. in. Wojciech Karolak i Jan Ptaszyn-Wróblewski) i pierwszej damy polskiego jazzu — Ewy Bem.

Jeżeli ktoś chodził na imprezy „główne", mógł odnieść wrażenie, że polska rozrywka reprezentuje poziom wysoki. Innym przemawiać będzie chyba bardziej do przekonania zdanie samego dyr. Andrzeja Jóźwiaka (w „Odgłosach"), że ... *targi pokazują chyba (też) nieuszminkowaną twarz naszej rozrywki*. „Druga oferta" polskiej estrady pokazała w każdym razie, że problem zapewnienia w „terenie" godziwej rozrywki jest szalenie trudny i złożony. Wskazała na to również gorąca dyskusja wśród działaczy kulturalnych podczas Targów. Ale to już temat do zupełnie innego artykułu.

ZWIERZENIA JANUSZA LASKOWSKIEGO

Fot. K. Janaszewski

JANUSZ Laskowski to jedna z najbardziej kontrowersyjnych postaci naszego świata estradowego. Stale tępiony przez krytykę za brak przygotowania muzycznego, słabe warunki głosowe i naiwność stylistyki prezentowanych utworów, bard przedmieścia (jak go niektórzy określają) przyjmowany jest wprost entuzjastycznie przez publiczność. Podczas IV Targów Estradowych w Łodzi J. Laskowski znów zrobił furorę.

— *Na temat pańskiej osoby — mówię po koncercie — krążą już legendy. Stało się to, jak pamiętamy, za sprawą serii pocztówkowych przebojów typu „Beata" i „Żółty jesienny liść". Dzięki nim trafił pan na usta wszystkich, choć długi czas pozostawał pan nieznany szerszemu ogółowi. Niech pan powie, czy nigdy nie marzył pan o karierze idola, którym w końcu i tak się pan stał, i w jaki sposób zainteresowały się pańską twórczością radio, prasa, telewizja?*

— Przyznam szczerze, iż nigdy nie miałem zamiaru zostać profesjonalistą w branży rozrywkowej. Stało się to wszystko jak gdyby dziełem przypadku i mimo woli. Wprawdzie śpiewałem, ale tylko dla siebie, nie przypuszczając, iż będę się kiedyś z tego utrzymywał. Pierwsze nagrania w prymitywnych warunkach prywatnego studia pocztówkowego dokonałem dla własnej przyjemności, a nie z myślą o rozpowszechnianiu. Nie mogłem wtedy przypuszczać, iż te piosenki wywołają tak namiętne dyskusje w narodzie. To, że zostałem z czasem zaakceptowany przez część słuchaczy jako wykonawca, stanowi moją osobistą satysfakcję. Lata 1968—1971 były dla mnie okresem szczytowej popularności, kiedy moje nagrania usłyszeć można było na każdym jarmarku, chyba w całej Polsce. Popularność poczęła w pewnym momencie przybierać charakter mitu, toteż w 1971 roku radiowe „Popołudnie z młodością" nagrało na prośbę słuchaczy wywiad ze mną, po którym otrzymałem w przeciągu dwóch miesięcy bagatelka — 80 tysięcy listów z całego kraju! Tak imponującej liczby wielbicieli (zwłaszcza wielbicielek) towarzyszyły prośby i petycje do środków masowego przekazu, by umożliwiono mi nagranie własnego longplaya. Jak pan widzi, działo się to wszystko niczym w kalejdoskopie. Konkretną propozycję nagrania otrzymałem w rok później, kiedy odbyłem cykl koncertów w ramach 13 Musicoramy „Love story czyli Tredowata" wspólnie ze „Skaldami", „No To Co" i „Asocjacją Hagaw".

— *Płyta wywołała wiele kontrowersyjnych opinii, a pańscy zagorzali wielbiciele czuli się po trosze zawiedzeni. Oceniając ten fakt dziś nie sądzę, by przysporzyła ona panu powodzenia. Ale czy pan, patrząc z perspektywy czasu, jest z niej zadowolony?*

— Dziś z całą pewnością ustawiłbym ją inaczej. Jest na niej po prostu zbyt wiele piosenek odstających wyraźnie od mego genre'u, niemniej była to wówczas sprawa wyższej konieczności. Warunkiem nagrania było podporządkowanie się narzuconemu repertuarowi.

— *Aktywność wykonawcy estradowego mierzona jest zwykle częstotliwością pojawiania się jego nagrań w radiu, telewizji, liczbą publikacji zamieszczanych na jego temat w prasie kulturalnej. Pan długo pozostawał w cieniu całego naszego show-bussinesu. Jak zatem doszło do tego, że trafił pan na festiwal opolski?*

— Nie mogę powiedzieć, bym całkowicie spoczął na laurach po nagraniu wspomnianej płyty. W połowie 1976 roku nawiązałem ścisłą współpracę z Ryszardem Poznakowskim i reaktywowanymi „Trubadurami". Wspólnie przemierzyliśmy wiele udanych tras koncertowych, wszędzie byliśmy przyjmowani z aplauzem. Na początku 1977 roku spotkałem w Warszawie serdecznego kolegę, Jonasza Kofta, który zaproponował mi udział w festiwalu opolskim. Wprawdzie kiedyś przyrzekłem sobie solennie nie występować nigdy na żadnym festiwalu piosenki, ale po wielu namowach dałem się skusić, nieświadom tego, jaki ta sprawa przybierze obrót. Pozostawała otwarta kwestia repertuaru. Znajomy R. Poznakowskiego — Ryszard Ulicki z Koszalina — napisał specjalnie dla mnie tekst „Kolorowe jarmarki". Jadąc do Warszawy przed oblicze szanownej komisji artystycznej, która miała zdecydować czy znajdę się w ekipie opolskich konkursowiczów, zabrałem wiele piosenek, ale nie uwzględniłem „Jarmarków". Dopiero po przesłuchaniu Kofta zapytał mnie o ten właśnie utwór. Wykonałem go, choć nie pamiętałem dobrze tekstu, a panowie z miejsca go kupili. Aranżacji podjął się Grzegorz Brudko — lider „Hagawu". Muszę przyznać: zrobił to świetnie.

— *Podbił pan „Kolorowymi jarmarkami" opolską publiczność i licznych telewidzów, śledzących festiwal. Ale spontaniczna reakcja widowni rozbawionego amfiteatru to jedna strona medalu. Jak pan przyjął niezbyt miłą decyzję jury?*

— Jestem głęboko przekonany, iż żaden z wykonawców nie jechał do Opola z myślą o punktach i klasyfikacjach. Podobnie i ze mną. Zjawiłem się na festiwalu, aby przedstawić najnowszą propozycję, pokazać się, że żyję i jeszcze nie złożyłem broni. W momencie, kiedy zobaczyłem punktacje jurorów, byłem zaskoczony niekonsekwencją tych panów. Tendencyjność w ocenie była aż nadto widoczna. Wydaje mi się, że ustalony regulamin powinien w jednakowym stopniu obowiązywać wszystkich. Czyż nie wydaje się paradoksem, że amfiteatr aż huczy od owacji, a jurorzy odmawiają piosence punktu?!

— *Niemniej piosenka zwyciężyła. Dziś nuci ją cała Polska a Maryla Rodowicz podbiła w Sopocie „Kolorowymi jarmarkami" widzów Interwizji.*

— Z Marylą Rodowicz nagrywałem w telewizji program rozrywkowy na 22 lipca i wtedy poprosiła mnie o wypożyczenie piosenki specjalnie na festiwalowy konkurs. Zgodziłem się od razu i dałem nuty. Interpretacja Maryli bardzo mi się podobała i pierwszą czynnością, jaką wykonałem po ogłoszeniu werdyktu jury i wręczeniu tych wszystkich róż, było wysłanie do Sopotu telegramu z serdecznymi gratulacjami.

— *Na brak popularności nie może się pan chyba uskarżać. A jak wygląda pański status wykonawcy estradowego? Mniemam, iż otrzymał pan wreszcie weryfikacje zawodowe...*

— To zupełnie zrozumiałe. Nie jestem w tej branży nowicjuszem, więc jak długo można mi było odmawiać prawa wypowiadania się we własnym repertuarze? Znalazł się wreszcie ktoś myślący, kto mi te uprawnienia przyznał. Aktualnie współpracuję z Estradą Łódzką. Mam przygotowany pełnospektaklowy show „Kolorowe jarmarki", w którym obok kilku zaproszonych wykonawców zaangażowany jest mój nowy kwintet instrumentalny. Od połowy stycznia ruszamy w Polskę. Mam mnóstwo najróżniejszych propozycji, z których wybieram te najatrakcyjniejsze. Równolegle do koncertów chcę uruchomić kampanię reklamową i nagrania. Mam już przygotowane dwie równie przebojowe (moim zdaniem) jak „Kolorowe jarmarki" piosenki i teraz czekam odpowiedniego momentu, by je wylansować.

— *Nie nosi się pan z zamiarem wydania następnej dużej płyty?*

— Mam nie tylko taki pomysł, ale i przygotowany materiał dźwiękowy. Tytułem albumu będą oczywiście „Kolorowe jarmarki". Płyta zapowiada się bardzo ciekawie, gdyż oprócz najnowszych piosenek z moimi kompozycjami do tekstów różnych autorów, znajdą się na niej moje dawne pocztówkowe przeboje.

— *Czy może pan dziś ujawnić ich tytuły?*

— Wolałbym nie zdradzać tajemnic przed czasem. A nuż się komu znowu nie spodoba? Album ten ma być pełnym zaskoczeniem.

— *Zdaję sobie sprawę z niepowtarzalności pańskiego stylu. Mimo to chciałbym spytać, co interesuje pana jako kompozytora i wykonawcę? Jakiego rodzaju muzyka zdaje się być panu najbliższa?*

— Może to zabrzmi dziwnie, ale lubię śpiewać poezję. Ponieważ z poezji śpiewanej uczyniono w ostatnich latach manifest debiutujących amatorów, pod którym każdy praktycznie może się dziś podpisać, nie chcę aktywnie włączać się w ten nurt, by nie być posądzonym o świadome nakręcanie koniunktury. Na poezję jest w tej chwili wielkie hallo i za opracowywanie wierszy biorą się różni ludzie, nawet ci, którzy swą brutalną nieporadnością zarzynają tekst poetycki. Powiem panu, że sam skomponowałem wiele piosenek do tekstów Tuwima, Asnyka, Jesienina i Puszkina. Nie wiem tylko, czy będę je wykonywał na estradzie. Najbardziej odpowiada mi styl balladowy i przy nim chciałbym zatrzymać się na dłużej. Z tym jednak zastrzeżeniem, że nie wykonuję typowej ballady, jaką znamy z repertuaru Woźniaka, Adamiak, Dylana czy Baez.

— *Na koniec jeszcze jedno pytanie. Czy jest pan optymistą?*

— Oczywiście, zawsze i wszędzie. Proszę pana, gdybym przejmował się tym, co w pewnym okresie czasu mówiono na mój temat, pewnie nigdy nie odważyłbym się publicznie zaśpiewać. A wiem, choćby z listów, że moje piosenki się podobają i ludzie chętnie ich słuchają. Czemu więc miałbym nie sprawić im przyjemności?

Rozmawiał:
Istvan Grabowski

Mój festiwal przyjaźni (3)

Leningrad i Moskwa

Maria Bechczyc-Rudnicka

W CZASIE niespełna tygodnia, który spędziłam niedawno, z grupą członków Klubu Krytyki Teatralnej w Związku Radzieckim można było zobaczyć w Leningradzie około 90 spektakli, w Moskwie około 160. Zobaczyłam sześć. Przysłowiową kroplę w morzu. Ile przecie sprawiły mi satysfakcji intelektualnej i estetycznej!

Pierwszy wieczór leningradzki spędziliśmy podobnie jak poprzedniego roku ostatni — na widowni Teatru im. W. F. Komissarżewskiej, tylko że teraz grano „Cara Fiodora Joannowicza", drugą część kronik historycznych świetnego dziewiętnastowiecznego poety, Aleksego K. Tołstoja (którego plącze się u nas dzisiaj niekiedy ze znakomitym autorem „Drogi przez mękę, Aleksym N. Tołstojem). Część pierwszą trylogii „Śmierć Iwana Groźnego" widzieliśmy w listopadzie r. 1976 do połowy, bo trzeba było śpieszyć się na pociąg do Warszawy. Szczęściem obecnie mogliśmy obejrzeć tę tragedię w całości nazajutrz po „Carze Fiodorze"...

A więc nie oglądaliśmy poszczególnych części kronik Tołstoja w takiej kolejności, w jakiej zostały napisane przez poetę („Śmierć Iwana Groźnego" — w 1866 r. „Car Fiodor Joannowicz" — w 1868), lecz dziwnym zbiegiem okoliczności — w takiej, w jakiej oglądał je niegdysiejszy widz Moskiewskiego Teatru Artystycznego, najpierw bowiem w pierwszym jego sezonie odbyła się, 14 października 1898 r., premiera „Cara Fiodora...", premiera zaś „Śmierci Iwana Groźnego" — 29 września 1899 r.

Co do Borysa Godunowa, to owa postać historyczna weszła na scenę Moskiewskiego Teatru Artystycznego dopiero 10 października 1907 r. i nie za sprawą trzeciej części trylogii A.Tołstoja, ale jako postać tytułowa tragedii Puszkina.

Tak się złożyło, że za dawnych czasów znałam trylogię A. Tołstoja jedynie z lektury, aczkolwiek „Car Fiodor Joannowicz" (grany również w Teatrze Suworina w Petersburgu) cieszył się jeszcze niesłabnącym powodzeniem w r. 1913, tj. w moich latach studenckich. Z tym większym zainteresowaniem śledziłam przedstawienia obydwu tragedii w inscenizacji znakomitego reżysera radzieckiego, Rubena Agamirziana. I oto, gdy zestawiałam własne wrażenia z relacjami krytyków spektakli Moskiewskiego Teatru Artystycznego, wyreżyserowanych przez K. S. Stanisławskiego i A. A. Sanina, mocno zdziwił mnie fakt, że po zawrotnym powodzeniu „Cara Fiodora...", przyjęła dawna moskiewska publiczność „Śmierć Iwana Groźnego" raczej obojętnie. Może stało się tak dlatego, że rola groźnego cara, podobno, nie udała się Stanisławskiemu, ani następnie — Meyerholdowi — obaj grali ją, ponoć, kładąc nadmierny nacisk na element patologiczny; natomiast Fiodor w wykonaniu Moskwina, z którym pracował nad rolą Niemirowicz-Danczenko, miał być jakoby rewelacyjny i zapoczątkował wielką karierę aktora.

Dzisiejsza inscenizacja „Cara Fiodora Joannowicza" jest już o tyle bogatsza od tej sprzed 79 laty, że przywróciła całą grupę postaci duchownych, z Dionizym, metropolitą Wszechrosji, na czele. Usunęła ją cenzura carska wobec kompromitującego dostojników cerkwi prawosławnej przekupstwa i konformizmu, bezkompromisowo zdemaskowanego przez autora. Scena ta należy do najlepszych w spektaklu Teatru im. W. Komissarżewskiej.

Ruben Agamirzian pokazał również bardzo wymownie intrygi bojarów osaczające słabego, łagodnego Fiodora, nie stworzonego dla tronu, a nawet w ogóle dla tego świata (Rosjanie mawiają o takich ludziach *On nie ot mira siego)*. Widzieliśmy w tej roli W. W. Letienkowa, którego Fiodor wzrusza nas swą, rzec można, dziecięcą bezbronnością. A zarazem drażni jego nieodstępna chwiejność — źródło wielorakiego zła i cierpień narodu.

Kiedy ogląda się obie tragedie po zaledwie jednej dobie przerwy, odbiera się je jako nierozerwalną całość, dobrze więc, że w obydwu te same pierwszoplanowe postacie tworzą ci sami aktorzy. Obok Iwana Groźnego specjalne zainteresowanie budzi postać Borysa Godunowa, przerastającego intelektualnie swoje otoczenie. S. N. Landgraf gra tę rolę, respektując żądanie autora — z ogromnym opanowaniem, z nieomylnymi intonacjami dworzanina-„dyplomaty", o którym myślałoby się, gdyby to było wiarygodne, że czytał traktat „Il principe" Makiawela. Doskonała jest zwłaszcza scena przekazania Groźnemu „uchwały" Dumy Bojarskiej, po czym cały zespół członkowski tej wysokiej rady państwa, padając plackiem na ziemię, błaga Cara Iwana o pozostanie na tronie. W ogóle znakomicie wypadła owa „komedia" z pieniem i okadzaniem przedśmiertnym, zorganizowana przez Groźnego celem wybadania postaw czyhających na jego śmierć bojarów.

Cenię szczególnie wysoko tragedię „Śmierć Iwana Groźnego", ponieważ nasuwa ona przede wszystkim myśl o tym, jak dalece uniżoność nikczemnego otoczenia korumpuje wybitną indywidualność i sprzyja aktom gwałtu popełnianym przez despotę.

Scenografia E. S. Koczergina jest zachwycająca: bogate, stylowe kostiumy, dekoracja — służy doskonale obydwu zrealizowanym częściom trylogii, zmyślnie współczesna, syntetyczna, ruchoma, już to zacieśniająca miejsce do grania kameralnie, już to otwierająca większą przestrzeń sceniczną. A piękna urodą starych złoconych ikonostasów i malowideł, w jakie zdobne były zamożne domy bojarów.

Trzeciego wieczora leningradzkiego dane nam było zobaczyć wspaniały, wstrząsający spektakl ,oparty na dziele największego z wielkich Tołstojów: Lwa. Jest to „Historia konia", wystawiona przez Wielki Teatr Dramatyczny im. M. Gorkiego w adaptacji reżysera teatru, M. Rozowskiego, w inscenizacji szeroko już znanego za granicą Georgija Towstonogowa. Oryginalny tytuł mikropowieści (jak by się dziś powiedziało) Lwa Tołstoja brzmi: *Chołstomier* (ten, co mierzy płótno, *chołst*). Nasi tłumacze używali tytułów: „Wiatronogi", „Bystronogi" i in. (w lwowskim „Tygodniku Polskim" z r. 1903 figuruje tytuł „Koń"). Treścią utworu są dzieje kłusaka od lat źrebięcych aż do tragicznej śmierci.

Podpis aktora E. A. Lebiediewa, grającego rolę Bystronogiego

Spektakl zaczyna się od wesołego życia młodego, pięknego *Chołstomiera* w stadninie. Niebawem jednak zostaje on zdyskwalifikowany jako reproduktor, ponieważ jego srokata maść nie podobała się właścicielom. W pewnym momencie dostrzega jednak jego zalety kłusaka zblazowany Książę Sierpuchowski, kupuje go i odtąd Bystronogi będzie pędził szczęśliwy żywot, zaprzęgany w eleganckie sanie, z przystojnym stangretem Feofanem na kozłach, z wytwornym arystokratą na tylnym siedzeniu. Koń zwierza się sam ze swego niekonsekwentnego przywiązania do księcia: *Podobał mi się dlatego, że był piękny, szczęśliwy, bogaty i z tego powodu obojętny dla wszystkich.*

Akcja rozwija się dwojako: bezpośrednio i poprzez narrację „głównego bohatera" — Bystronogiego. Gra go z niezrównanym mistrzostwem laureat nagród państwowych ZSRR, E. A. Lebiediew, stosując w tej wielkiej metaforze przerwanego brutalnie życia człowieka — od czasu do czasu dyskretną mimikę i ruchy „konioidalne". Ten chwyt przewija się i w ruchach innych postaci, dając m. in. uroczy efekt w zgrabnych pląsach zespołu „klaczek" i „ogierków".

Do głębi przejmuje widza śmierć zestarzałego, nieprzydatnego *Chołstomiera*, zarżniętego nożem odrzyskory. Choć pokazano ten ohydny proceder dyskretnie przy pomocy czerwonej wstążki, rozwiniętej na piersi Bystronogiego, pełne wyrazu było jego stopniowe konanie.

Scenografię znakomitej inscenizacji Towstonogowa zaprojektował cieszący się wielkim uznaniem E. G. Koczergin (którego kunszt podziwialiśmy już w tragediach Aleksego Tołstoja). Tym razem jest ona w sensie barw ascetyczna. Cały wystrój sceny jest sporządzony z szarego płótna i sznurów. Tym samym materiałem posłużył się artysta w kostiumach.

Opowiadanie Lwa Tołstoja zawiera szereg głębokich rozważań filozoficznych, których część wykorzystano do monologów Bystronogiego. W jednym z zawiłych momentów swego żywota powie *Chołstomier: Nie mogłem pojąć, dlaczego nazywano mnie własnością człowieka. Określenie: mój koń, stosowane do mnie, żywego stworzenia, wydawało mi się tak samo dziwne, jak określenia: moja ziemia, moje powietrze, moja woda... Ludzie dążą w życiu nie do tego, żeby czynić to, co uważają za dobre, lecz do tego, żeby największą możliwie ilość rzeczy nazywać swoimi.* I Bystronogi dochodzi do krańcowego wniosku: *Jestem teraz przekonany, że na tym właśnie polega różnica pomiędzy nami a ludźmi. I dlatego nie mówię już o różnych innych naszych zaletach w porównaniu z ludźmi, z tego tylko jednego względu możemy śmiało twierdzić, że w hierarchii żywych istot znajdujemy się wyżej niż ludzie.*

Tak, koń się uśmiał...

W Moskwie obejrzeliśmy wszyscy w s p ó l n i e poranny spektakl w słynnym Teatrze na Tagance, w dniu odlotu do Warszawy. Był to również spektakl godny uznania pod każdym względem. Najzupełniej nowoczesny. Tutaj pokazano rzecz zatytułowaną *„Pieriekriostok"*, co znaczy: „Skrzyżowanie" — ponieważ adaptacja sceniczna powstała z dwóch opowieści wybitnego pisarza białoruskiego, Wasyla Bykowa: „Sotnikow" i „Most Kruglanski". Dokonał jej Jurij Lubimow, którego nazwisko jest dobrze znane wszystkich ludziom teatru i u nas, w Polsce. Jemu też zawdzięcza się pomysłową oryginalną inscenizację, trzymającą cały czas uwagę widza w napięciu. Mimo że akcja nie jest urozmaicona żadnymi efektami scenicznymi i całość opiera się głównie na tekście.

Mamy przed sobą oddział partyzancki, jeden z tych licznych oddziałów ponoszących niepozorne, ciężkie trudy codziennej walki z hitlerowskim okupantem. „Bohaterowie" inscenizacji jakże są niepodobni do chodzących w glorii bohaterów, wyróżnionych w głośnych bitwach. Ot widzimy po prostu garstkę uzbrojonych ludzi, przedzierających się przez bagna dla spełnienia zadania przydzielonego im przez kogoś w imię dobra ojczyzny. W pewnym momencie ktoś się załamuje, godzi się pójść na służbę do wroga dla ocalenia swej skóry. I taki przypadek został pokazany z całą otwartością, bo okrucieństwa wojny potrafią czasem zniszczyć godność ludzką w słabszym człowieku.

Scenografia Dawida Borowskiego — również w zamierzeniu ponura, szara, nieefektowna: kłęby drutu kolczastego, belki, dwie długie skrzyżowane kładki, jakby symbolizujące rozdroże...

W małej grupce kolegów byłam jeszcze na dwóch świetnych przedstawieniach. W Moskiewskim Teatrze Dramatycznym na Małej Bronnej grano akurat „Aloszę", sztukę Wiktora Rozowa opartą na jednym z wątków powieści Dostojewskiego „Bracia Karamazow". Inscenizator A. W. Efros i scenograf W. Z. Papiernyj poszli całkowicie w kierunku nowoczesności co też przyniosło im pełny sukces.

Nie mogę nie wspomnieć na końcu o prześlicznym spektaktu „Wieczoru Trzech Króli": Teatr „Sowriemiennik" wykorzystał na wskroś nowoczesną inscenizację Petera Jamesa, której walory podnosi bardzo piękna scenografia laureata nagrody państwowej ZSRR — I. G. Sumbataszwili, tudzież tło muzyczne D. I. Kriwickiego. Nie ma potrzeby mówić, że gra aktorska była tu na wybitnie wysokim poziomie. Szczególnie urocza okazała się (zazwyczaj nudnawa) Oliwia w wykonaniu A. A. Wertińskiej, zdaje się, córki sławnego piosenkarza rosyjskiego.

Po trzech dniach pobytu w Moskwie odlecieliśmy z niej polskim samolotem o godzinie 22.15. Wylądowaliśmy na Okęciu o 21.55... Różnica czasu.

Mieczysław Stanclik

BIAŁE KRUKI

Feliksowi Netzowi

* * *

1

Miraże ognia! Płomienna maligno.
Zakorzeniona w rozjątrzonej myśli!

Posłańcy bogów, którzy w chwale przyszli,
Bym się z upadku mego nie podźwignął.

Idą przez rzeki odwrócone lustro.
Na dnie kotwiczą, w poruszonym srebrze.
A każdy mego zmiłowania żebrze.
Bym z nimi czuwał. Abym im nie usnął.

W potrójnej tiarze zapalonych opon!
Papieżu nocy! O, mózgu kwitnący!
Jakże się w tobie krzewi anatema...

Ty — zawinięty szczelnie w ognia kokon.
Akcie strzelisty najzaciętszej klątwy
Piekła, jakiego i u Danta nie ma.

* * *

2

Umrzesz na każdą niekochaną miłość...
Wieją w pamięci wszystkie ścięte włosy
Zdradzonych kobiet, których miałeś dosyć.
Ich niemoc z nową powali cię siłą.

Pot się osypie szronem z prześcieradeł.
I w kość niezgody stężeje powietrze.
I w twarze kobiet będziesz coraz bledsze
Patrzył, jak w mgliste kontury widziadeł.

Nie wzleci kościół twego zapatrzenia
— Z dna ewangelii pieśnią nad pieśniami.
Kościół pod czarnym wezwaniem Requiem.

Kamena str. 10

BALKON

Edmund Pietryk

WRZESIEŃ, a z nieba żar. Giewont w pełnej okazałości i trawa jeszcze soczysta jak wiosną. Co się dziwić — tutaj bzy kwitną do samego sierpnia, i to jak kwitną! Starsza pani ze śladami dawnej urody wystawiała twarz do słońca. Tak leniwie wyciągnięta na leżaku wyglądała jeszcze powabnie. Tak wyglądają kobiety, które przez całe życie dyskretnie, lecz wytrwale pracują na swoją legendę — tajemniczą i pikantną. Wylegiwała się na balkonie pierwszego piętra, dlatego ludzie przechodzący pobliską drogą odwracali ciekawie głowy w jej stronę, ale ona była obok tego i ponad tym.

Tak trwało przez cały tydzień, gdy pokój nad nią i na drugim piętrze stał pusty. Ale od samego rana coś gwałtownie wtargnęło w jej dolce farniente. Do pokoju nad nią wprowadziło się dziś rano młode małżeństwo — początkujący poeta, prozaik, dramaturg, a może zwykły tekściarz ze swoją żoną o samiczym głosie i takim też chyba wyglądzie. Ranili się słowami w ślepym zapamiętaniu. Ich podniesione głosy drżały jakąś miłosną nienawiścią, jakby depcząc chcieli ocalić coś, co już na początku zabili. I nie mogli wyplątać się z tego obłędnego węzła. Jakby chcieli, by coś zmartwychwstało przez to zadręczanie. Starsza pani słuchała tej szamotaniny i ciekawość walczyła w niej z mrocznym przeczuciem, może wspomnieniem, a może nagle budzącą się z bardzo długiego snu świadomością winy. Po tylu latach miałaby się biczować jakimś absurdalnym samoudręczeniem? A mimo wszystko w napięciu słuchała tych młodych chociaż już starczo nienawistnych głosów.

— Więc jednak zdradziłaś mnie z tym szmaciarzem? I żeby to był ktoś, ale to przecież płazowate indywiduum — nacierał on.

— Po prostu normalny człowiek. Stęskniłam się za normalnością — kontrowała lodowato ona.

— Ale żeby z takim nikim — z jękliwą nienawiścią atakował on.

— Tyle bełkoczesz o małości i wielkości, a kim ty właściwie jesteś? Pisarzyną na wiecznym dorobku... a spróbuj mnie tylko uderzyć, spróbuj! — krzyknęła ona.

Starsza pani poderwała się z leżaka, zbiegła do swojego pokoju, rzuciła się na łóżko i zasłoniła uszy dłońmi, jakby chciała się oddzielić od rzeczywistości. A rzeczywistością był ten dom, który udawał różne wtajemniczenia, jako że przebywali tutaj na wypoczynku pisarze czy skromniej i ogólniej mówiąc literaci lub ich najbliżsi. Celebra, kokieteria i prawdziwe znużenie. To zmęczenie bywa jedyną wiarygodną prawdą nawet gdy lękliwie przebija przez maskę wielkiej aktywności czy tak zwanej potencji twórczej. Tak — gorycz w tym miejscu jest prawdziwsza od swego przeciwieństwa. Ta podsłuchana przez nią awantura wyszarpnęła z niej dawno zabliźnione wspomnienie o mężu — pisarzu, który po swojej samobójczej śmierci stał się dla ludzi bardziej żywy niżeli za życia. Miał żonę legendarną i śmierć miał też legendarną. Małżeństwo z nim — wtedy wschodzącą gwiazdą literatury po błyskotliwym debiucie, który stanowiła mocna, „chłopska" powieść, było jej buntem przeciw konwencjonalnej atmosferze adwokackiego domu. Tatuś, wzięty adwokat, nigdy jej nie wybaczył tego pisarzyny. To pogardliwe słowo piekło ją jak największy wstyd, nienawidziła ojca za to nazewnictwo, ale któregoś dnia sama zaczęła się nim posługiwać, gdy z kolei jej wieczny bunt skierował się przeciw zaborczemu, ambitnemu i krzykliwie rozdartemu mężowi, który jak gdyby zatrzymał się w rozwoju...

Tego dnia starsza pani kazała sobie przynosić posiłki do pokoju. Z pokoju nad nią nie dochodziły żadne odgłosy. To raczej z korytarza i z parteru dochodziły głosy najbardziej żywotnych pensjonariuszy tego domu wypoczynkowego o ekskluzywnym charakterze — znany pisarz poczytnych kryminałów i ambitny tłumacz z angielskiego, wiecznie w ruchu, wiecznie zaaferowany, wzięta pisarka bajek dla dzieci, niezwykle rozplotkowana i rozintrygowana, małżeństwo tłumaczy z francuskiego — sensaci i salonowcy, autor słuchowisk i reportaży wojennych, czy też znużony skandalista — dramaturg, któremu czasem wracała chęć do draki.

W pokoju na górze zakotłowało się nad ranem — on wrócił pijany po ostrej alkoholowo — neurastenicznej wędrówce. I znowu dialog, szamotanina.

Ona: — Odejdź, ręce przy sobie brudasie!

On: — A z kim ty miałaś do czynienia, że ja ci cuchnę?

Ona: — Z normalnym człowiekiem.

On: — A to, kiedy dwa lata temu porwałem cię z tego miasteczka po wieczorze autorskim to było normalne? Zamarzył się pisarz panience z dobrego domu, zamarzył się kaprys parafialnej gąsce.

Ona: — Tak, to był kaprys, chwilowe zaćmienie świadomości, na więcej nie zasługujesz i więcej już ze mnie nie wydusisz.

On: — Kim ty właściwie jesteś, co ty znaczysz beze mnie?

Ona: — Jestem z tobą z litości, bo inaczej już dawno byłbyś na dnie jakiegoś rynsztoku, z litości mogę ci jeszcze stwarzać złudzenia, że nie jesteś zupełnie skończony, z litości...

Nagle on przeszedł do rękoczynów, zakotłowało się, ktoś zapukał do drzwi, uspokoiło się.

I znów wspomnienia o coraz sławniejszym po śmierci mężu zaczęły atakować starszą panią o śladach wielkiej urody — kochała go nienawidząc. Odpychała ją jego chłopskość, ambicja, która pożerała samą siebie, jego agresywna rozpacz. Ich uczucie stawało się bezwzględnym niszczeniem, a te rany nie chciały się u nich goić, dlatego ona ćwiczyła się w coraz perfidniej okazywanej pogardzie, a on brnął w jakąś masochistyczną fascynację jej osobą, pił coraz bardziej, aż wreszcie podniósł na nią rękę. I to był prawdziwy początek końca — koszmar, który nie tłumaczył się rzeczowo. Bo ona pozostała nieodmiennie mieszczańską córką swego zachowawczego domu i każdy koszmar powinien mieć dla niej rzeczowe wytłumaczenie, a każde szaleństwo swoje żelazne alibi w konkrecie, w rzeczywistości. I zaczęła mu uciekać, a on za nią gonił. Żył w upiornej gorączce. Im bardziej ona go upokarzała, tym bardziej rosła w nim owa mroczna gorączka. On ją stwarzał w swoich coraz bardziej dusznych, gęstych zdaniach wierszy i nowel, ona stwarzała go w swoich bezustannych ucieczkach spowodowanych strachem, wstrętem do tego rozpalonego barbarzyńcy.

I to było też uczucie — głęboko ukryte pod wiecznie rozżarzonym popiołem panicznej nienawiści. Ta ich tragedia stawała się ich legendą, a co za tym idzie — reklamą. I to ją trzymało przy nim cieniutką nitką satysfakcji, że to szaleństwo ma jednak swój odpowiednik w rzeczywistości. A więc syta była jej kobieca żądza szaleństwa i jako tako dokarmiony, mieszczański głód sprawdzalnego faktu, dokonania. Z tym, że za to wszystko płacił on, coraz bardziej na skraju zupełnego wypalenia.

Ranek znów był słoneczny. Starsza, elegancka pani położyła się na leżaku wystawiając swoją rasową twarz do słońca. Na górze było cicho. Pisarz kryminałów grał na dziedzińcu w piłkę z pisarzem powieści fantastyczno-naukowych, który prowadził regularny tryb życia wyznaczając sobie godzinę dziennie na zajęcia sportowo-ruchowe. Parę pisarek snuło się nastrojowo po ubogim ogrodzie. Stary poeta przekomarzał się rubasznie z kucharkami. I znów na górze zaczął się dialog.

On: — A jednak jesteś moją koniecznością, to jest skazanie na siebie.

Ona: — W radiu wczoraj mówiono o tobie, może jeszcze nie jesteś całkiem skończony.

On: — Trzeba wszystko rozpocząć od nowa, muszę skończyć tę książkę, dlatego wszystko musi być na swoim miejscu, ty też.

Ona: — I ja już nie mam sił na ucieczkę.

On: — Chodź...

I nastąpiły szepty coraz gwałtowniejsze, coraz czulsze, kochali się równie rozpaczliwie jak przed kilku godzinami zadręczali. Starsza pani wróciła do pokoju i wyjęła z szafki butelkę koniaku. Wypiła parę kieliszków jednym haustem, jak on to kiedyś robił. I po którymś jej powrocie, po jakiejś tam z kolei próbie ułożenia z nim życia od nowa, wydawało się, że cień uczucia wrócił. Powiedziała mu wtedy: „Ty chciałbyś ze swoją chłopską zachłannością całe swoje życie zeżreć na jedno danie. I co może zrobić z człowiekiem sukces!" Jaśniał wtedy jak dziecko po sukcesie swojej nowej książki — spowiedzi. Toporna szczerość tej powieści była jednocześnie jej ukrzywdzeniem, bo on sam nie mógł się wyzbyć naiwnej wiary w ludzi, w życie i tą ufnością prowokował los. Ale wtedy, w tych pierwszych godzinach rzeczywistego sukcesu, jaśniał jak dziecko. Jak dziecko... — zdecydowała się na nie w nadziei, że to ich ocali, bo też była zmęczona tą wieczną szarpaniną. Chciała spokoju i czegoś więcej — czegoś żywego, rzeczywistego. I znów starczyło tego uczucia — azylu tylko na rok. Dopiero wojna przykuła ich do siebie strachem na dalszych sześć lat, nawet wtedy, gdy on był w obozie, a ona pracowała jako kelnerka wychowując malca. Ale wtedy, po momencie paniki, uwierzyła w swoje siły, poznała swoją prawdziwą wartość. Jego wojna podcięła jeszcze bardziej, dla niej był to poligon, z którego wyszła jeszcze silniejsza. I miała odruchową pogardę do słabszych, gdy życie wróciło do normy. A do niego w szczególności. Dla niego zaś nadszedł moment próby. Z tą swoją chłopską naiwnością wierzył we wszystko — szedł, albo udawał, że szedł w pierwszej linii. Wierzył bez reszty w wielkie pomniki. Rósł razem z nowymi pomnikami i chodził ostentacyjnie w oficerskich butach i w bryczesach. Wielka wiara była mu potrzebna jak chleb, jak powietrze. I pisał jak nakazywała mu ta wielka wiara, a obok szeptano, że ten spryciarz produkuje książki na zamówienie. On dalej się spalał, a obok popluwano w ten dla wszystkich podejrzany ogień. Syn rósł i nie wiedział — czy ma ojca, czy go nie ma? Rósł mimo niego, a nawet powoli zarażał się od matki wrogą nieufnością do ojca.

Nowa awantura wybuchła na górnym balkonie pod wieczór. Wyjątkowo ładny wieczór, z wyjątkowo tajemniczym Giewontem w oddali.

On: — To wszystko jest jałowe jak ty, obrzydliwość.

Ona: — Możliwe, nienawidzę cię i czasem muszę udawać coś innego, dla świętego choć, niestety, chwilowego spokoju.

On: — A z nim? Nie musiałaś niczego udawać?

Ona: — Nie musiałam, a jeśli chcesz wiedzieć, to, leżąc z tobą wyobrażam sobie, że jestem z kimś innym, z kimś zupełnie innym.

Starszej pani wydawało się, że słyszy jego płacz. Uśmiechnęła się odruchowo, bo przecież męski płacz to coś groteskowego. I nagle usłyszała jej bezwzględny monolog:

— Idź się powieś to będzie przynajmniej coś poważnego, jeszcze jakaś śmierć z charakterem może być twoją szansą, nie umiałeś przymierzyć się do życia, to chociaż spróbuj przymierzyć się do śmierci, skocz z tego balkonu, albo utop się w Morskim Oku, zrób z sobą coś ciekawego, bo patrzeć na ciebie nie mogę, nigdy nikogo tak nie nawidziłam jak ciebie nienawidzę.

Ktoś, prawdopodobnie on, wybiegł z pokoju i znów na górnym balkonie zapanowała cisza. Starsza pani trwała przez długą chwilę w tępym odrętwieniu, jakby nagle na tym balkonie przyczaiło się przeciw niej tamto głuche samooskarżenie — bo być może jej tragiczny mąż potrzebował szczególnego ciepła, kiedy zaczęły się walić pomniki i on kruszał razem z tymi wszystkimi pogańskimi sagami, którym wierzył całą swoją naiwną i bardzo okaleczoną duszą. Farbowani przyjaciele też go wtedy opuścili skwapliwie zmieniając kolor. On na to był za uczciwy, ten jego chłopski grzbiet nie był nawykły do elastyczności. I wtedy jakby sam sobie chciał wymierzyć karę samozniszczenia. Najgorsze, że syn parę razy zobaczył go w tym stanie. Raz było to w czasie urlopu. Pozwoliła mu zabrać syna tutaj, do Zakopanego. Dwa tygodnie się trzymał, chodzili w góry, wydawało się, że ojciec odnalazł wreszcie syna i odwrotnie. Po dwóch tygodniach spotkał jednak kogoś, komu kiedyś bardzo zaszkodził z pozycji pryncypialnych, rozmowa była gwałtowna i bezwzględna. Poszedł w kurs. Musiała przyjechać po syna, a on poszedł na leczenie. Nie miała sił go nienawidzieć. Po tym leczeniu jak gdyby chwycił drugi oddech nabrał powietrza w naprawdę chore płuca — pisał gorączkowo i znów ten jego popiół umiał parzyć ludzi. Ale ona zamknęła się w sobie. Należała już do kobiet, dla których samodzielność była nałogiem. Myślał, że ta nowa fala sławy umożliwi mu powrót do niej, do syna, że znajdzie u nich oparcie w skrajnym zmęczeniu i wypaleniu. Dzwonił kilka razy, ona odkładała słuchawkę bez słowa. I puścił sobie gaz. Mawiano, że mimo wszystko udało mu się umrzeć z godnością, w świetle powracającego blasku. A on wypalił w sobie swoją prawdę, a do gry ze swoim twardym karkiem i kruchym sercem nie nadawał się. Po jego śmierci musiała chodzić z synem do psychiatry. Jakby to pogorzelisko po śmierci ojca przeszło na syna. I powoli, z latami syn stawał się wiernym portretem swego ojca, którego pisarstwo nabierało siły po jego tragicznej śmierci.

Po paru dniach ta dziewczyna z góry zaczęła szaleć z niepokoju. On wyszedł wieczorem po tej bezlitosnej rozmowie i nie wrócił. Zawiadomiono milicję i GOPR. Starsza pani słyszała ją, jak nerwowo chodzi po balkonie. Chciała jej nawet coś powiedzieć, coś jej poradzić, ale i ją ogarnął wielki niepokój, złe przeczucia dotyczące jej syna — z każdym rokiem upodabniającego się do ojca. Nie zdołał ukończyć żadnych studiów, chociaż zaczynał wiele fakultetów. Parę razy był na kuracji odwykowej. W grę wchodziły nawet narkotyki. Kawalerkę, którą kupiła mu matka, pomalował na czarno i spraszał tam dziwnych ludzi. Kiedy mu załatwiła pobyt w Bułgarii, wrócił najbliższym samolotem. Ona wyznaczała mu stałą pensję miesięczną z własnej kieszeni. Pieniądze miała. Prowadziła modną i uczęszczaną kawiarnię. Ludzie jeszcze snobowali się na nią i jej legendę. A syn był odbiciem ojca w krzywym zwierciadle.

Na trzeci dzień też nie znaleziono tego nieszczęsnego sąsiada starszej pani z górnego balkonu. Ona stała na tym balkonie i patrzyła w góry z tępą i kokieteryjną oleodrukową nadzieją. Jakby pozowała do portretu. Do swojej legendy. Starszą panią coraz natarczywiej prześladowały przeczucia na temat syna, który został w swym czarnym mieszkaniu. Wreszcie spakowała dwie równie jak ona eleganckie walizki i najbliższym pociągiem wyjechała z tego tłocznego kurortu.

Odkąd w niezgodzie, odkąd w zdradzie żyjesz.
(Święta Miłości zmiłuj się nad nami!)
Od kiedy nie masz n i c do ocalenia...

* * *

3

Twarze umarłych, drgające w powojach
Rtęcią i światłem. Imiona roślinne,
Zawsze te same, chociaż co dzień inne.
W nich podobieństwo i w nich zmienność moja.

Wężowe sploty drewniejących mięśni.
Stos pacierzowy kręgosłupa. Szyjne
Zakola pnączy. Nóg i ramion wijne
Poręcze żywych konstrukcji... Nieszcześni.

Ostrego żwiru piętnowani czerwiem
— Gdy krew ich biała zastyga na murze,
Jak w zgasłej świecy stygnie wosku grymas;

Nim ich tchem wiary natchnie wiatru prymas —
Ich zwiewne twarze, w światła cienkiej skórze,
Drżą każdym moim naprężonym nerwem.

* * *

4

Jastrzębiu mojej wysokiej miłości!
O, ptasia magio unoszonych skrzydeł.
Kiedy na przestrzał przez powietrze idę,
Pod opór ciało i pod ziemi pościg.

— Z ran rdzy, z pajęczej ułomności pleśni,
Niechaj co lotne, nie wypełznie gadem...
Mary północne — broczą trupim jadem
— Nim cień ich martwy w żywy świt się prześni...

— Nie słowo, ale milczenie przystoi.
Wprowadzonemu w tak wysokie stery:
Gdzie przestrzeń godzi się na skrzydła — cztery.

Gdzie czas przystaje na ciał naszych — dwoje.
Gdzie — jeden — jastrząb p o n a d — zawieszony.

1977 (Fragmenty)

Marcin z Urzędowa

Stanisław Surdacki

WŚRÓD wielu słuchaczy z Lubelszczyzny, którzy w XVI wieku starali się pogłębić swą wiedzę poprzez studia w Akademii Krakowskiej, wyróżnił się twórczo Marcin z Urzędowa. Nazywano go też Urzędów Marcin (Korbut), Urzandów Marcin, Urzędowski Marcin (Sołtykowicz), a nawet na tle znacznego zniemczenia wielu miast — Urzendorf Marcin.

Głośny i znany później przyrodnik — botanik (zielarstwo) i zarazem doktor filozofii i medycyny, Marcin (syn Szymona) urodził się około r. 1500—1502 w Urzędowie, ważnym ongiś ośrodku miejskim, wyróżniającym się pokaźnym zasobem światłych ludzi. W 1517 roku Marcin zgłosił się do Akademii Krakowskiej i w roku 1521 skończył podstawową część studiów, rodzaj późniejszego gimnazjum — liceum i uzyskał stopień nauczyciela (baccalarius), po czym naukę kontynuował i w roku 1525 uzyskał stopień magistra.

W latach 1525—1533 pracował nadal w Akademii, prowadząc wykłady z zakresu fizyki, matematyki, logiki i filozofii, zwłaszcza nauk Arystotelesa. W roku 1529 mianowany został przełożonym Collegium Minor, a w roku 1532 pełnił funkcję dziekana. W owym czasie otrzymał też święcenia kapłańskie.

W czasie studiów, ale także w toku pełnienia w Akademii swych funkcji naukowych, według akt uniwersyteckich był niesforny, zadziorny, nieoględny w słowie i zachowaniu. Wielokrotnie był pozywany przed sąd rektorski z powodu kłótni, potwarzy i wręcz bójek, nie wywiązywania się z długów. Z trudem podporządkowywał się postanowieniom władz.

Przy uzyskaniu stopnia nauczyciela otrzymał od wydziału teologii i kurii krakowskiej prezentę na altaristę przy kolegiacie w Sandomierzu, a jako magistrowi przyznano mu prebendę w Sandomierzu.

Zapewne jeszcze podczas prac pedagogicznych w Akademii uczęszczał na medycynę. Wskazywałby na to brak danych odnośnie jakiegoś przydziału konkretnych prac w latach 1526—1527. Niestety akta medyczne uległy spaleniu.

Na przełomie lat 1533—1534 Marcin wyjechał do słynnej wówczas Padwy na studia medyczne i przyrodnicze. Tam nawiązał bliższe stosunki z ludźmi nauki i lekarzami. Zaprzyjaźnił się z włoskim lekarzem Tuszetem oraz Bembusem i we włościach swych mistrzów spędzał wiele czasu, zdobywając praktyczne wiadomości z zakresu botaniki, a zwłaszcza zielarstwa. (Bembus w 1535 roku został przez papieża Pawła III mianowany kardynałem jako don Bembo).

O ile przyrodnicy i medycy z XV w. opierali się na źródłach arabskich, to Marcin z Urzędowa i współcześni mu zgodnie z ówczesnym prądem Odrodzenia bardziej skłaniali się ku wywodom badaczy greckich i rzymskich, zwłaszcza Dioskoridesa i Pliniusza. Do Dioskoridesa Marcin żywił pełne zaufanie, Pliniusza szanował i doceniał, ale i krytykował go nieraz, nie dając wiary jego wywodom. I mimo, że nosił już wówczas szatę kapłańską ,uważał Olimp starożytny i jego bóstwa niemal jako realia. Ponadto wierzył sam w różne czary, zabobony i przesądy, jakie w tych czasach obok dążenia do oświecenia i postępu szeroko jeszcze były zakorzenione.

Wpływ włoskiej szkoły i Odrodzenia połączony z zamiłowaniem do przyrody i wiarą w celowość jej istnienia, wywarły na Marcinie mocne piętno, co ujął on słowami: *Natura żadnej rzeczy nie sprawiła, która by ku pożytkowi człowieczemu nie przyszła.* Ze współczesnych autorów chętnie korzystał z prac niemieckiego przyrodnika Leonarda Fuksa, autora terminologii łacińskiej roślin.

Studia we Włoszech Marcin zakończył uzyskaniem w 1538 roku w Padwie dyplomu doktora medycyny. Potem przebywał w Wenecji, wędrował po Szwajcarii i Węgrzech. Po powrocie do kraju osiadł na przyznanej mu przedtem prebendzie w Sandomierzu, ustalając swą pozycję społeczną i materialną. Nadal pozostał zadziorny, o czym świadczy wytoczony mu w 1543 roku proces w Sandomierzu przez mieszczanina Tomasza Gomółkę o obrazę honoru.

Podjął wtedy energiczne zabiegi o poszerzenie swych wpływów i korzyści materialnych. W 1544 r. posiadał probostwo w rodzinnym Urzędowie, a w 1546 r. ponadto i w Modliborzycach (k. Opatowa). Jako pleban urzędowski toczył spór z małżonkami Lassotami o zatrzymanie wpłat dziesięciny ze wsi Łopiennik Dworski i gruntów kmiecych. Jako pleban modliborzycki procesował się z kolatorami i sąsiednimi plebanami. Choć procesy te wygrał, musiał wysłuchać wielu zarzutów. Zwłaszcza dotkliwie atakowało go opactwo łysogórskie zarzucając mu, że w niewłaściwy sposób spełnia swe funkcje i obowiązki.

Zapewne na skutek powyższych przykrości zrezygnował w 1563 r. z probostwa w Modliborzycach, ale w tymże roku uzyskał godność kanonika w Sandomierzu. Przy kościele św. Ducha objął szpital i zaczął leczyć, ratując chorych zwłaszcza w okresie morowego powietrza. Zdobył sobie duże wzięcie nie tylko wśród mieszczan, ale także wśród szlachty i w magnackich dworach. Był więc lekarzem nadwornym hetmana Jana Tarnowskiego aż do jego śmierci w 1561 roku. Poza tym wzywano go w sprawach leczniczych na dwór Tęczyńskich w Kraśniku i do marszałka wielkiego koronnego Jana Firleja w Kocku.

Celem mocniejszego związania Marcina, głośnego już i poszukiwanego doktora medycyny z Sandomierzem, rajcowie miejscy obdarzyli go drugą prezentą altaristy przy kościele św. Mikołaja i Stanisława b-pa oraz godnością kaznodziei, a ponadto drugą prebendą przy kościele parafialnym św. Piotra, wyposażoną domem, polami, winnicą i czynszami. Po pewnym czasie Marcin z altarii zrezygnował i jeszcze ofiarami i zapisami ją wspomógł.

Mimo swej zapobiegliwości życiowej majątku nie zgromadził. W obszernym testamencie spisanym 6 VI 1573 r. i zachowanym w aktach sandomierskich, obok ogólnych refleksji filozoficznych dokonał podziału swej skromnej schedy około 1000 florenów na różne cele, głównie kościelne, na szpital, ubogich i służby. Nie zapomniał o bursie studenckiej w Krakowie, z której zapewne sam niegdyś korzystał, zapisując jej skromną tylko kwotę 20 florenów. Zmarł w Sandomierzu 22 VI 1573 r., tam został pochowany.

Główną zasługą Marcina z Urzędowa jest jego dzieło przyrodniczo-lecznicze pod tytułem „Herbarz Polski". Poświęcił mu kilkanaście lat życia w okresie 1542—1557. Utrwaliło ono jego imię jako pierwsze w Polsce oryginalne obszerne dzieło i jako wyraz postępu w nauce przyrody i medycyny w naszym kraju. Dotychczasowe opracowania pokrewnej treści w formie krótkich poradników, zwyczajem zagranicznym pod nazwą przeważnie „ogród zdrowia", były wydawane przez drukarnię Ungierowską i inne jako tłumaczenia i kompilacje różnych autorów i przygodnych firmantów — bez żadnej własnej treści i bez fachowego przygotowania tłumaczących.

Pełny tytuł dzieła Marcina brzmiał: „Herbarz Polski, to jest o przyrodzeniu ziół i drzew rozmaitych i innych rzeczach do lekarstw należących, księgi dwoje". Pierwsza księga „O przyrodzeniu ziół rozmaitych" omawia 372 gatunki ,druga „C własności przyrodzonej drzew i niektórych ziół zamorskich" 105 gatunków. Najobfitszy to zestaw spośród poradników i wydawnictw XVI wieku. Układ był według nazw łacińskich alfabetycznie, gdyż systematyki roślin wówczas jeszcze nie opracowano. Fachowo rośliny są na ogół dobrze oznaczone, choć nie brakuje omyłek. Nazw roślin obcych autor nie spolszczył, natomiast rośliny krajowe oznaczył w brzmieniu łacińskim i polskim.

W drugiej połowie XVI wieku ukazało się na rynku wiele nowych prac z zakresu zielarstwa. Przyczyniły się do tego krakowskie zakłady drukarsko-wydawnicze Ungierów, M. Scharffenberga, Łazarów i in., które po zachęceniu przygodnych tłumaczy, jak Szymon z Łowicza, Stefan Falimierz vel Cwalifimirz, H. Spiczyński, M. M. Siennik produkowały do jarmarcznej sprzedaży broszury medyczno-zielarskie w oparciu o także poradniki włoskie, czeskie czy niemieckie, krążące jeszcze w XVIII wieku. Obfitość i łatwy zbyt tego rodzaju poradników przeszkadzały Marcinowi z Urzędowa w dojściu do porozumienia z nakładcami. Marcin bowiem opracował swe dzieło znacznie obszerniej i o wiele gruntowniej. Opracował je obszernie *aby prosty lud wiedział* i *aby mistrzowie swym żakom umieli w szkołach na polszczyznę wykładać i żeby kapłani na kazaniu łatwiej sobie radzili z terminologią ziół i lecznictwa.*

Tak więc Marcin mimo parokrotnych prób nie zdołał przełamać uporu producentów tandetnych, ale pokupnych książek i dopiero 20 lat po jego śmierci Jan Firlewicz po zaopatrzeniu dzieła „Herbarz Polski" w swoje dość obszerne słowo wstępne zdołał je wydać własnym nakładem za pośrednictwem drukarni Łazarów w Krakowie. Wydawca w przedmowie informuje, że Marcin z Urzędowa napisał jeszcze inne dzieło pod tytułem „O zachowaniu zdrowia". Nie wiadomo jednak, czy wydano je w druku. Wydanie „Herbarza Polskiego" zostało bardzo spóźnione, prawie 50 lat po napisaniu. A tymczasem inni badacze, nasi i obcy, opracowywali i wydawali nowe dzieła w oparciu o ciągle z postępem zdobywane materiały, podczas gdy w momencie tworzenia i ukończenia „Herbarza" było ono czołowym i najbardziej postępowym głosem w omawianej gałęzi nauki.

W drugiej połowie XVI w. tworzył i wydawał swe prace z tej dziedziny Antoni Schneeberger, przybyły do Krakowa z Bazylei doktor medycyny i filozofii, który w oparciu o swego znakomitego mistrza szwajcarskiego Gesnera przyswoił w 1557 roku kulturze polskiej wcale dobry katalog ziół z polską terminologią i opisem 432 roślin. Z Akademii Krakowskiej, po uzupełnieniu studiów w Padwie, wyszli następni znakomici badacze, jak Szymon Syreniusz, późniejszy profesor Akademii Krakowskiej Wydziału Medycznego i Gabriel Joannicy. Z zagranicznych pisarzy wyróżnili się w XVI wieku Hier. Bock i Leonard Fuchs w Niemczech oraz Piotr Andrzej Matthioli we Włoszech.

Toteż chociaż dzieło Marcina z Urzędowa zachowało nadal dużo wartościowej treści i w swoim czasie było doniosłym badawczym i oryginalnym wkładem do nauki i kultury, przez splot trudności nie mogło być aktualnie w pełni wykorzystane i uległo pewnemu zdezaktualizowaniu się po pół wieku w momencie wyjścia wreszcie na światło dzienne.

Kamena str. 12

LIST Z POZNANIA

„Lech" nie na spalonym

Janusz Przybysz

KAWAŁY o poznaniakach to nowy dział twórczości ulicznej, który urodził się niedawno, lecz ładnie się rozwija i ma szansę stanąć godnie obok starych rodów-kawałów o Szkotach, teściowych i wariatach. Każda z tych rodzin miała swoją przywarę koronną eksploatowaną następnie w milionie wariantów. Szkot był skąpy, teściowa zgaga, a wariat logicznym chłopakiem tyle, że z logiką jak gdyby reumatyczną (Niech się pan stuknie w czoło — mówił ordynator do pacjenta — i niech pan pomyśli logicznie: jakże pan może być Napoleonem, skoro Napoleonem jestem ja!). Poznaniak w kawałach przywary określonej jeszcze nie ma, choć już się rysuje jego postać. Poznaniak w kawale to tępy i uparty formalista o horyzontach kury.

Ale zostawiam kawały o poznaniakach na inną okazję. Dziś zajmę się głównie sportem. Osobiście nie ulegam urokom sportu z jej królową — piłką nożną na czele, dla mnie jest obojętne, co tam chłopcy kopią na zielonej murawie, niech oni kopią, co chcą, choćby kapelusz. Kiedy inni się kłócą, czy był spalony, czy nie był, ja się nie wtrącam, w ogóle nie wiem, co to spalony. Kiedyś próbowałem zrozumieć, ale bez efektu. Natomiast nawet jako ignorant sportowy nie mogę nie zauważyć fenomenu „Lecha" Poznań.

„Lech" Poznań to tutejsze bożyszcze. Gdy Lech przegrywa, cisza panuje nocą w mieście i kibice smucą się nad butelką po kątach. Kiedy wygrywa, radość kibiców widoczna staje się publicznie (podobnie, jak ich butelki). „W górę serca n i e c h zwycięża L e c h!" — śpiewano jeszcze nie tak dawno, choć obecnie już się nie śpiewa, bo śpiew staje się w ogóle sztuką i radością przeszłości. Dziś śpiewa się już wyłącznie w chórach męskich i przedszkolach, a kibice, zamiast śpiewać, trąbią w sensie dosłownym i przenośnym.

Jeszcze w maju „Lech" Poznań zajmował ostatnią pozycję ligowej tabeli i już o nim pisano wiersze żałobne w sportowej prasie. Uratować go mogło tylko wygranie trzech pozostałych meczów i przegrane rywali z dołu tabeli. Wszystko to właśnie się stało i od tego czasu „Lech" Poznań nie przegrywał już prawie wcale, a z początkiem zimy znalazł się na czele tabeli ligowej z liczbą punktów równą bardzo chwalonemu liderowi — „Wiśle" z Krakowa!

Rzecz odnotowuję dla jej szerszych i pozasportowych aspektów. Kiedy się ma w perspektywie bliski spadek z ligi lub z czegokolwiek, grać może się już nie chcieć. Kiedy się mimo to gra, jest nieźle, a kiedy do tego się wygrywa to już dobrze. Bardzo dobrze jeśli się w dodatku wychodzi na czoło.

* * *

Tutejszy „Głos Wielkopolski" ma liczne pomysły, w związku z czym wymyślił wycieczkę tramwajem. Wycieczka odbyła się pod hasłem „Poznań nocą". Na tej wycieczce nie byłem, bo tramwajami najeżdżę się wystarczająco za dnia, specjalny korespondent doniósł jednak, że tramwaj był wypełniony po brzegi, a uczestnicy bardzo chwalili tramwaj, pomysł i Poznań nocą. Jak wygląda Poznań nocą z okien tramwaju, korespondent nie doniósł, można się jednak domyślić, że Poznania nocą w tramwaju nie widać w ogóle, gdyż połowa lamp nocą jest wyłączona. Na szczęście jasno oświetlony był tramwaj. Już zapowiedziano dalsze wycieczki tramwajem nocą.

Życzę podróżnym szczęśliwej podróży i wielu wrażeń.

„Krajowa Rada Narodowa"

W HISTORII polskiego parlamentaryzmu swoisty okres stanowią dzieje Krajowej Rady Narodowej. O KRN, parlamencie zrodzonym w drodze rewolucyjnej, napisano już wiele — przeważnie jednak w formie artykułów. Ważnym wydarzeniem jest więc pojawienie się dzieła „Krajowa Rada Narodowa" (Ossolineum), opracowanego w Instytucie Państwa i Prawa PAN przez zespół autorski pod redakcją prof. Andrzeja Burdy z UMCS. W połączeniu z dwiema innymi monografiami („Sejm PRL" pod red. A. Burdy, wyd. 1975 r. i „Sejm Ustawodawczy Rzeczypospolitej" pod red. M. Rybickiego, wyd. 1977 r.) praca składa się na całościową analizę ewolucji i roli polityczno-ustrojowej parlamentu w okresie Polski Ludowej.

Zadanie badawcze sprecyzowali autorzy w zdaniu: „Krajowa Rada Narodowa jako parlament epoki przełomu w historii naszego kraju i Krajowa Rada Narodowa jako wyraz szukania nowych rozwiązań modelowych — te dwa zagadnienia wydawały się nam najważniejsze i to właśnie staraliśmy się ukazać w pracy".

Analizy struktury i form działania KRN po wyzwoleniu (1944—1947) zostały przedstawione w kontekście walki o władzę ludową. W rozdziale I J. Pawłowicz omawia genezę KRN i jej działalność przed wyzwoleniem, tj. mobilizowanie mas do walki z okupantem, budowę rad narodowych, organizowanie frontu narodowego itp. Na tle wydarzeń historycznych analizuje problemy związane z odbudową państwowości polskiej i zasady prawne nowego ustroju. W rozdziale II A. Ajnenkiel i A. Burda akcentują w szczególności odejście od schematów ustrojowych z okresu literalnego obowiązywania konstytucji marcowej, nowość przyjętych konstrukcji ustrojowych (zwłaszcza w zakresie stosunków między KRN jako tymczasowym parlamentem a PKWN następnie zaś — Rządem Tymczasowym).

W rozdziale III J. Zakrzewska wnikliwie scharakteryzowała tymczasowy parlament jako organ przedstawicielski. Z dużą sumiennością, a zarazem w interesujący sposób autorka przedstawiła rozwój struktury partyjno-politycznej KRN, sposób formowania się jej składu, podkreślając inspirującą rolę PPR wobec działalności KRN w całym okresie jej istnienia. Wywody zostały umotywowane i zilustrowane obszernymi zestawieniami dotyczącymi wieku, wykształcenia, struktury zawodowej posłów itp.

W następnym rozdziale J. Zakrzewska skoncentrowała uwagę na analizie funkcji i zadań KRN jako parlamentu oraz na sposobie ich realizacji. Najobszerniej przy tym potraktowała funkcję kontrolną, co zrozumiałe, jako że w okresie budowy zrębów nowego ustroju, przy istniejącej mozaice aktów normatywnych (przepisy z okresu międzywojennego i nowe) oraz bardzo urozmaiconym składzie urzędniczym, kontrola odgrywała niezwykle doniosłą rolę. Zbyt mało natomiast miejsca jak mi się wydaje poświęcono w tym rozdziale nowej, bardzo ważnej funkcji, jaką było ustalenie zasadniczej linii politycznej, zwłaszcza wpływowi KRN na politykę zagraniczną, znajdującą się przecież w momencie zasadniczego zwrotu.

Największe bogactwo problematyki cechuje rozdział charakteryzujący organizację i funkcjonowanie KRN, napisany przez J. Mordwiłkę i J. Zakrzewską. Omówiono w nim w szczególności tak ważne zagadnienia, jak: struktura organizacyjna KRN, stanowisko prezydenta KRN, stanowisko posła, komisji, klubów poselskich. Czytelniczą sugestywność rozdziału (omawiającego kwestie dotąd właściwie zupełnie nie opracowane w literaturze) podnoszą liczne cytaty z dyskusji i polemik, zaczerpnięte z dokumentów archiwalnych.

Swoistym ukoronowaniem pracy jest szósty — ostatni rozdział, autorstwa A. Burdy i J. Zakrzewskiej, podsumowujący dorobek KRN w dziedzinie społeczno-gospodarczej, w zakresie kształtowania ludowego systemu organów, wreszcie — co ma kapitalne znaczenie dla późniejszej praktyki parlamentarnej — w sferze doskonalenia form i metod działania socjalistycznego parlamentu. Jak trafnie podkreślają autorzy, spośród wszystkich zadań, które stanęły przed KRN, „nienajbłahsze przecież polegało na wypracowaniu nowego modelu parlamentu (...). Szukanie najlepszych form działania jest charakterystyczne dla całego okresu istnienia KRN". Zawarte w rozdziale oceny i uogólnienia wnoszą szereg nowych elementów do nauki prawa konstytucyjnego.

Ogólnie stwierdzić wypada, iż recenzowana praca należy do tych pozycji, o których zwykło się mówić, że wypełniają dotkliwą lukę w literaturze. Powinna ona zainteresować nie tylko prawników, lecz i szersze grono czytelników.

Alina Węgiera-Trochimiak

EX LIBRIS BOLESŁAWA BIERUTA

Siedemnastego grudnia ub. roku w Lublinie przy ul. Sierocej 4a otwarto Muzeum Historii Ruchu Robotniczego im. B. Bieruta (jako oddział Muzeum Okręgowego). W budynku, w którym mieści się placówka, Bolesław Bierut spędził dzieciństwo i młodość (1893—1912). Oryginalne dokumenty, fotografie, portrety malarskie i pamiątki osobiste pierwszego prezydenta Polski Ludowej — m. in. biurko, przy którym pracował w swym mieszkaniu w Warszawie przy ul. Klonowej — informują o pracy i życiu wybitnego działacza polskiego i międzynarodowego ruchu robotniczego i organizatora polskiej państwowości po II wojnie światowej. Ekspozycja będzie uzupełniana w miarę pozyskiwania nowych eksponatów, choć nie ulega wątpliwości, że już teraz jest interesująca poznawczo.

Wyżej reprodukujemy ex libris Bolesława Bieruta.

Wiersze Stefana Wojciechowskiego

NAKŁADEM Klubu Seniora UMCS, działającego w ramach Koła Miłośników Książki i Ekslibrisu PTAiN w Lublinie, ukazał się tom wierszy Stefana Wojciechowskiego „In memoriam Wandy Wojciechowskiej".

Tom jest hołdem złożonym żonie z okazji 50-lecia małżeństwa, a zarazem zapisem przeżyć autora związanych z jej chorobą i śmiercią. Dominują też w nim dwa przeciwne tony: radość i ból. Zlewają się one w refleksję nad sensem i treścią ludzkiej egzystencji.

Nawet gdy nie gra żadna z orkiestr świata,
żaden instrument w dłoni wirtuoza,
śpiewam sam hymny wdzięczności za życie
świadome, bujne, piękne, uczuciowe.

Grupę wierszy początkowych wypełnia wspomnienie młodości, która przeżywana we dwoje, jawi się jako niepowtarzalny fenomen, jako czas szczęścia, po którym — to już ton dalszej części zbiorku — nieubłaganie los jedna wszystkich wobec wieczności.

Kto mnie sprowadził na ten świat nieszczęsny
z niebytu w życie tak piękne za młodu,
by w starczych latach otworzyć mi oczy
na klęskę bytu każdego człowieka?

Wiersze przynoszą więc poczucie klęski i bólu obejmującego całą przyrodę, romantyczną tęsknotę do połączenia się poprzez śmierć z osobą kochaną. Nade wszystko jednak mówi o chrześcijańskiej idei samarytańskiej, której realizacja stanowi o pełni człowieczeństwa.

Wiedz, że Cię kocham, teraz więcej nawet,
(...)
bo teraz ja Ci mogę służyć!

Tom zawiera również apologię małżeńskiej miłości, która poprzez rozliczne doświadczenia bogaci osobowość jednostki, czyni ją otwartą na świat i ludzi, a więc sprawia, iż zyskuje ona pełny ludzki wymiar.

I nigdy żalu za tym, com zostawił
nie odczuwałem dzięki Tobie tylko,
któraś mi wiernie odtąd pomagała
żyć i się cieszyć tym życiem wraz z Tobą
kochać świat ludzi bliskich i dalekich,
przyjaciół, wrogów, służyć ludziom, zawsze,
pomagać w biedzie, podtrzymywać w trudzie,
o sobie mało przemyśliwać jednak
i żyć jak człowiek nie wstydząc się tego.

Za ten właśnie dar poeta najbardziej jest wdzięczny swej żonie.

Nie same jednak wiersze składają się na tom. Uzupełnia je 17 ekslibrisów ofiarowanych zarówno małżonkom Wojciechowskim, jak i wykonanych przez przyjaciół autora in memoriam Wandy Wojciechowskiej. Technika poszczególnych ekslibrisów oscyluje między prostotą form typograficznych w znaku skomponowanym przez Antoniego Dudka a bogatym drzeworytem Peterisa Upitisa z Łotwy, między symbolicznymi rysunkami Zbigniewa Jóźwika czy Ryszarda Tkaczyka, a pełnymi tragicznej ekspresji Kazimierza Trepka. Wklejone na pojedynczych stronach ekslibrisy odbite w minimalnej liczbie egzemplarzy, nie są jedynie graficznymi ozdobnikami, lecz integralną częścią zbiorku, stanowiąc komentarz do wierszy, znak oddający i pogłębiający przesłanie zawarte w poszczególnych utworach. Dopiero wiersze z ekslibrisami składają się na pełny tekst — dokument trwałej, nieprzemijającej i głębokiej miłości.

Marek Jędrych

Stefan Wojciechowski: In memoriam Wandy Wojciechowskiej. Lublin 1977, s. 36, 17 ekslibrisów, nakład 120 egz.

RENOWACJA ZAMOJSKIEJ STARÓWKI

Renowacja zamojskiej starówki trwa. Nowo powstały w Zamościu Oddział PKZ rozszerzył znacznie front robót przy zabytkach. Niedawno rozpoczęto prace przy fortyfikacjach dawnej twierdzy. Ku zadowoleniu turystów i zainteresowanych mieszkańców miasta postawiono estetyczną tablicę o treści: „Bastion VII zwany czwartkiem wchodził w obręb XVI w. fortyfikacji Zamościa, przebudowany kilkakrotnie w ciągu stuleci, został w 1866 r. wysadzony w powietrze i zasypany. Prace prowadzone przez P.P. Pracownie Konserwacji Zabytków O. Zamość od maja 1977 r. mają na celu odsłonięcie jego najstarszej formy oraz przywrócenie wyglądu z czasów jego świetności". Brawo! Więcej takich pomysłów.

(SIE)

PRASA LUBELSKA PISAŁA

PRZED 100 LATY

■ Gdy przed dwoma laty zapowiedzieliśmy wydawnictwo „Gazety Lubelskiej", znalazł się liczny zastęp ludzi, którzy gorąco zachęcając nas do podjęcia zamierzonej pracy, wróżyli nowo powstającemu pismu przyszłość i powodzenie, znaleźli się również i tacy, którzy utrzymywali, że praca nasza będzie krótkotrwałym wysiłkiem i że w bardzo prędkim czasie zaniechać ją będziemy zmuszeni. Przepowiadano nawet, że „Gazeta Lubelska" na kilku numerach swój żywot zakończy, gdyż nie będziemy mieli o czym pisać, a znana ze swej apatii prowincja tutejsza nie przyjmie udziału w pomocy pióra. Pesymistyczne te zapatrywania na szczęście nie ziściły się.

Kilka, żywo cały kraj obchodzących kwestii, nie dotknięte przedtem cyfry statystyczne, historyczne, mało znane komu pamiątki i sprawy miejscowe dostarczyły nam materiału do zapełnienia skromnych ram prowincjonalnego organu. Okazało się, że prowincja nie była tak obojętna, jak ją o to posądzano. Kilkadziesiąt piór podążyło nam na pomoc, a umysły, które nimi kierowały, były w części znane szerszemu kołu naszego społeczeństwa. Nie jesteśmy zarozumiali, abyśmy dzisiaj mniemać mieli, że pismo nasze jest już w pełnym rozwoju, że całkowicie wypełnia swoje zadanie i że nic nam już do tego postępu uczynić nie wypada, owszem, czujemy sami niedostatki nasze, lecz jeżeli im w zupełności zaradzić nie możemy, niech nas w części tłumaczą trudne warunki, z którymi na każdym prawie kroku borykać się przychodzi. Zwiększająca się z dniem każdym liczba prenumeratorów, napływająca ilość anonsów, stawia nas w możności i zamiarze do rozszerzenia pisma ram, czego też od początku nowego roku uskutecznimy.

„Gazeta Lubelska"

PRZED 50 LATY

■ Listopad przyniósł ciekawe dane cyfrowe, mogące posłużyć jako materiał dla charakterystyki przeciętnego lublinianina. Czy Lublin pisze listy? Pewnie, że pisze, ale bardzo mało. Razem wysłano w listopadzie 150 000 listów. To znaczy, że przeciętny lublinianin wysłał półtora listu przez cały miesiąc, za to cała Polska interesuje się Lublinem i pisze do nas częściej: w listopadzie otrzymaliśmy 300 000 listów, a więc przeciętnie każdy z nas otrzymał 3 listy. Zaglądamy do rubryki „przesyłki za pobraniem": bilans jest ujemny, wysłaliśmy tylko 1034 takich przesyłek, a mieliśmy wykupić 5530 przesyłek za pobraniem. Uderzy nas nagle liczba wysyłanych przez PKO ok. 4 000 000 złotych, gdy do Lublina nadeszło tylko 340 000. Ten stosunek wyjaśnia się tym, że Lublin po prostu posiada niewielką ilość właścicieli kont w PKO wobec słabego handlu w Lublinie. Za to czyniąc zakupy musimy wpłacać na konto firm w różnych stronach kraju, a dowodem jest również przewaga paczek przychodzących do Lublina.

Lublin eksportuje 50 000 egzemplarzy czasopism w ciągu miesiąca. Czyli dziennie wysyłamy 2 000 egzemplarzy. Jest to znikoma wprost ilość biorąc pod uwagę obszar województwa. Liczba powyższa stwierdza, że są na Lubelszczyźnie tereny całkowicie nie objęte działalnością prasy, gdzie gazeta w ogóle nie dociera. Przeciętnie przybywa do Lublina ok. 2000 egz. gazet z całej Polski, przeważnie stołecznych. To znaczy, że co 50 lublinianin pozwala sobie na luksus przeczytania gazety nielubelskiej. A więc każdy lublinianin kupuje jedną gazetę np. warszawską w ciągu 6 tygodni. Pocieszmy się faktem, że Lublin odpowiada na każdą nadesłaną depeszę.

■ Jedna z najdotkliwszych bolączek w naszych stosunkach powojennych jest bez wątpienia dający się poważnie odczuć głód mieszkaniowy. Jeśli chodzi o Lublin, to należy on do rzędu tych miast, gdzie zjawisko braku mieszkań występuje najjaskrawiej, a co gorsze, że nie uczyniono w tym kierunku prawie nic, choć w części mogłoby się zaradzić. Jeśli rzucimy okiem na ubiegły sezon budowlany i zechcemy zbilansować wynik ruchu budowlanego na naszym terenie, to rezultat jest niemal bliski zeru. Jedyna większa budowa był gmach Gimnazjum na Czwartku, dalej wybudowano przybudówkę przy szpitalu Szarytek oraz kilkanaście domków na przedmieściach nie przekraczających objętości 4 izb. A więc ani jednego domu większego nie zdołało wybudować miasto liczące ok. 114 tys. mieszkańców.

„Głos Lubelski"

Kamena str. 13

KALEJDOSKOP

O mądrą oszczędność

PAP pisze: Kultura dysponuje poważną bazą w znaczeniu ścisłe produkcyjnym i handlowo-usługowym. Wymieńmy: pracownie konserwacji zabytków, przemysł muzyczny i fonograficzny, wydawnictwa, księgarstwo, poligrafie, wytwórnie filmowe, zakłady produkujące na potrzeby kinematografu itp. Te i inne przedsiębiorstwa zatrudniające dziesiątki tysięcy ludzi, obracające wielomiliardowymi sumami, potrafią przynosić znaczne nieraz dochody. W sumie jest to niezbyt może wielki ale liczący się dział gospodarki narodowej. Ten dział również obowiązują postanowienia IX Plenum KC PZPR w zakresie wzrostu efektywności gospodarowania poprawy jakości pracy, lepszego dostosowania produkcji i usług do potrzeb społecznych. Teatry, filharmonie, biura wystaw artystycznych, przedsiębiorstwa estradowe domy kultury itp. muszą bardziej gospodarskim okiem patrzeć na jakie cele i w jaki sposób wydają posiadane środki. Trzeba bezwzględnie zwalczać zdarzające się niezbyt przecież rzadko przejawy rozrzutności, choćby w postaci rozdętej i kosztownej reklamy np. niektórych festiwali, nadmierne szafowanie przy różnych okazjach społecznymi pieniędzmi, niepotrzebny rozrost zatrudnienia. Właśnie!

WL = 25

Wydawnictwo Literackie w Krakowie obchodzić będzie w tym roku swoje dwudziestopięciolecie. W ciągu tego okresu czasu WL wydało 2100 tytułów z czego jedną trzecią w okresie ostatnich pięciu lat. W b.r. otrzymamy sporo nowości. „Polskie opowiadania współczesne" — to seria, w której m. in. ukażą się utwory Iwaszkiewicza, Brezy, Cieszki, Macha. Z innych nowości warto zapowiedzieć serię „Proza krajów socjalistycznych" oraz „Bibliotekę Romantyczną" w której znajdą się różne aspekty polskiego romantyzmu. Edycja „Dzieł wybranych" wzbogaci się o kolejne tomy Irzykowskiego i Peipera. W serii „książek zapomnianych" ukażą się w WL m. in. „Rówieśnice" Nałkowskiej oraz „Historie maniaków" Romana Jaworskiego.

„Kamenie" byłoby miło gdyby Wydawnictwo uwzględniło w rozdzielniku gratisów i naszą redakcję. Pozwoliłoby to wzbogacić dział recenzyjny.

Morze u poetów

Pod takim tytułem prężne Wydawnictwo Morskie (gratisy przysyła!) przygotowało interesującą antologię, w której znalazły się wiersze i wypowiedzi współczesnych poetów polskich. Poza trzema (Grochowiak, Przyboś, Stonimski) wszyscy żyją. Zbigniew Jankowski, który antologię przygotował, prezentuje 58 twórców ze starszego i młodszego pokolenia. Poprzednio Wydawnictwo Morskie udostępniło czytelnikom inną antologię — „W imię Conrada". Morze bliżej!

Popieramy Koźniewskiego

W „Polityce" Kazimierz Koźniewski pisze: ... w rzeczywistym interesie społeczeństwa leży, by uczeń był oceniany najuczciwiej. W interesie społeczeństwa leży dwója właśnie — a nie trójka! Prawdziwa i zasłużona dwója ma walory wychowawcze — tak jak ma je zasłużona i prawdziwa piątka. Koszta drugoroczności — zwłaszcza teraz gdy niż demograficzny rozluźnia klasy szkolne — są o wiele mniejsze niż szkody ponoszone przez państwo, a będące prostym skutkiem fałszowania ocen. I pod tym względem nowe projekty ocen rozważane w ministerstwie są niepokojące: obniżanie poprzeczki promocyjnej i maturalnej — w konsekwencji znów doprowadzi do obniżenia poziomu nauki szkolnej zamiast by poziom ten był coraz wyższy, a oceny surowo sprawiedliwe. Koźniewski się przyznaje: „sam dublowałem siódmą klasę przedwojennego gimnazjum, mając w pewnej chwili aż osiem ocen niedostatecznych na szkolnym, bardzo sprawiedliwym świadectwie. Nikt wtedy w przedwojennym gimnazjum państwowym wokół drugoroczności nie odprawiał żadnych szamańskich czarnych mszy nikt z nas nie czynił parszywych owiec, choć gdyśmy doszli do matury, tej dużej licealnej to okazało się, że dublowało pięćdziesiąt procent tych którzy kiedyś razem rozpoczynali klasę pierwszą. I co? I nic!"

Dla kronikarza, który w 2078 roku będzie redagować rubrykę PRASA SPRZED STU LAT PISAŁA

Słyszeliśmy o konflikcie z własnego podwórka: pewna dyrektorka tak długo naciskała na nauczycielkę obcego języka aż ta połowę postawionych dwój zmieniła na trójki. Wbrew własnemu sumieniu! I teraz ciągle ma moralnego kaca. Powiedziała, że więcej się nie ugnie. Rzeczywiście, że nie. Już nie pracuje w szkolnictwie!

Stopnie Kalisiaka

W tej samej „Polityce" Henryk Kalisiak donosi, jak to działa jego pięć termometrów z „Mototechniki". Jeden wskazuje 19,5 stopni C, drugi — 20, trzeci 20,5 czwarty — 20 a piąty — 16,5. Na szczęście termometry mierzą temperaturę powietrza, a nie ciepłotę ciała. Między 36,6 a 40,6 jest już różnica kosmiczna. Ale z chorego łatwiej wówczas uczynić zdrowego. I odwrotnie.

Zaklęte rewiry

Nie, nie będzie mowy o książce Worcella. Wrocławskie „Wiadomości" przygotowały na święta sporo tekstów z gatunku retro. Przypomniały m. in. Magdalenę Samozwaniec, która wspominała jak to się jadało w domu Kossaków. „Zasadnicza różnica — stwierdziła autorka — między dzisiejszą kuchnią polską a dawniejszą polega na tym, że wówczas żyło się, aby jeść a dzisiaj — je się aby żyć". „Wiadomości" nie dodały od siebie, że nie każdy Polak mógł się stołować u Kossaków. Nie mniej poczytać przyjemnie.

Technika i medycyna

Zespół szwedzkich neurochirurgów i elektroników ukończył prace nad modelem sztucznej ręki przeznaczonej dla osób które utraciły górną kończynę poniżej łokcia. Sztuczna ręka, pokryta plastykiem i wymodelowana na podobieństwo naturalnej, wyposażona jest w kontrolowany zespół odpowiadający elektrycznym sygnałom pochodzącym z mięśni ramienia do przedramienia. Jeden z konstruktorów sztucznej ręki inż. Torbjoern Holmquist, w wywiadzie udzielonym agencji Reutera oświadczył, że do tej pory skonstruowano 10 prototypów sztucznej ręki dla osób dorosłych. Od kilku lat zespół prowadzi również prace nad modelem protezy dziecięcej. Pewna 8-letnia dziewczynka z protezą bierze udział w szkolnych zawodach sportowych. Proteza umożliwia jej osiągnięcie wcale nie gorszych wyników od jej rówieśnic.

Inne wieści: Amerykański Związek Medyczny opublikował ostatnie dane dotyczące dokonanych do tej pory przeszczepów różnych organów. Do chwili obecnej żyje 77 osób z 338 które poddały się transplantacji serca w ciągu ostatniego dziesięciolecia. Rekord długości życia z obcym sercem wynosi osiem lat i siedem miesięcy. Z 302 pacjentów, którym dokonano przeszczepienia wątroby żyje 47, a najdłuższy czas życia po tej operacji wynosi siedem i pół roku. Z 37 chorych, którzy poddali się transplantacji płuca, zaledwie jeden żył dziesięć miesięcy (pozostali zmarli wcześniej). Nikt z 33 chorych, którym dokonano przeszczepu trzustki, nie pozostał dziś przy życiu a tylko jeden z nich przeżył lat cztery. Optymizm jednak nie słabnie. Medycyna robi postępy.

Czytajcie a znajdziecie

Lektura, stopki redakcyjnej „Prawa i Życia" okazała się dla lublinianina nadzwyczaj interesująca. Pojawiło się w niej nazwisko nowego zastępcy redaktora naczelnego pisma — Michała Skalenajdy. Michał był ostatnio korespondentem PAP w Moskwie, a dawno temu (lat temu osiem dziewięć?) przewodził lubelskiej rozgłośni Polskiego Radia. Jeśli nie zapomniał lat młodzieńczych, można oczekiwać że tematy związane z lubelską Temidą będą teraz szerzej przedstawione na łamach warszawskiego dwutygodnika. Pewnymi propozycjami w tej mierze możemy służyć.

Pro domo sua

W „Prasie Polskiej" — miesięczniku Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich Karol Badziak pisze tak: „W pracy naszej (dziennikarzy — przyp. „Kam.") występuje taki moment krytyczny, w którym wyczerpany psychicznie człowiek dostaje piorowstrętu. Jest to po prostu chwilowy stan znaechęcenia do kontynuowania swojego zawodu. Słodki przywilej publikowania zamienia się wtedy w mękę. U osobników młodych, ambitnych dolegliwość ta występuje o wiele rzadziej i trwa o wiele krócej, natomiast wśród starych repów, wyniszczonych profesjonalną młocką z czasem rzecz przechodzi w chorobę psychiczną. Pisanie staje się dla nas udręką jak dokuczliwy ból zęba, lecz niestety, bez pisania byłoby jeszcze gorzej. Dziennikarstwo jest to bowiem taki zawód, w którym istota ludzka sama zapędza się w ślepy zaułek. Oczywiście najskuteczniejszym wyjściem z tego zaułka jest ucieczka w awans, zdobycie w redakcji stanowiska funkcyjnego i wtedy pisanie znów przestaje być przykrym obowiązkiem wliczonym w normę a staje się przyjemnością jak za dawnych, młodych lat. Widocznie to z tego właśnie powodu większość redakcji składa się obecnie przeważnie ze stanowisk kierowniczych. Dotyczy to zwłaszcza periodyków, ale i wśród personelu gazet codziennych na jednego szeregowego żurnalistę przypada co najmniej dwóch oficerów i jeden podoficer. Tendencja ta jest tak silna w naszych szeregach że zaczynamy się powoli upodabniać do armii indonezyjskiej, gdzie na jednego szeregowca przypada dwóch generałów i jeden admirał". Badziak oczywiście, przesadza, korzystając z prawa felietonisty, ale coś w tym jest!

Generałowie konsultujcie się!

Prasowym generałom nie tak znów łatwo się jednak dogadać, o czym świadczą świąteczne numery „Sztandaru Ludu" i „Kuriera Lubelskiego". „Kurier" w rubryce „Nasze wywiady" zamieszcza wywiad Bożeny Krupe z Karolem Strasburgerem. „Sztandar" zaś w rubryce „Spotkania aktorskie" — identyczny tekst i identyczne zdjęcia. Ażeby było śmieszniej, trzeba dodać, że obie gazety drukuje się w tych samych Zakładach Graficznych. Jak się należy domyślać, wywiad pochodzi ze źródeł agencyjnych (Interpress?). A swoją drogą, czy oficer dyżurny, pełniący służbę w nocy nie może dopatrzeć z czego strzela konkurencja (powiedzmy...)?

Jadczak odkrywa Afganistan

Stanisław Jadczak w świątecznym numerze „Sztandaru Ludu" szpikuje swój tekst encykiopedyczną wiedzą o Afganistanie i twierdzi, że o tym wszystkim dowiedział się „z ust afgańskiego urzędnika". Bujać to my, ale nie nas!

Sztejman w TV

Zbigniew Sztejman dyrektor lubelskiego teatru im. J. Osterwy nie wystąpił w serialu „Dyrektorzy", ale zaproszono go do „Domu otwartego" Bałuckiego. Oglądaliśmy go w drugi dzień świąt i bardzo nam się jego wigor podobał. Jeśli ma to być zapowiedź prezentowania w telewizji nowych twarzy witamy ją z entuzjazmem. Znanych aktorów niezmiernie cenimy ale kiedy jednego dnia oglądamy ich raz w pierwszym, a raz w drugim programie, targają nami sprzeczne uczucia. Bo Polska nie zaczyna i nie kończy się w Warszawie.

Przygotowali:
bracia Kamenowicze

UWAGA CZYTELNICY: Od dawna już zamierzaliśmy zmienić koncepcję strony czternastej „Kameny" (w perspektywie myślimy i o dalszych przeobrażeniach). Prosimy o Wasze opinie: czy ta rubryka zamiast poprzednich bardziej się Wam podoba? Pytamy o to, bo opinie w samym zespole są podzielone. (Red.)

ekran i widz

„Błękitny ptak"

W STYCZNIU wchodzi na polskie ekrany film szczególny: „Błękitny ptak" — zrealizowany przez amerykańskiego reżysera, — George'a Cukora. Przed wojną słynna była jego „Dama Kameliowa" z Gretą Garbo, po wojnie szła na naszych ekranach „Dwulicowa kobieta"; współczesnemu pokoleniu najbardziej kojarzy się Cukor z filmami: „Pokochajmy się" czy „My Fair Lady".

Pisząc o „Błękitnym ptaku" adaptacji sztuki Maurycego Maeterlincka jako filmie szczególnym, mam na myśli nie osobę reżysera, ale fakt, że „Błękitny ptak" to pierwszy w historii kina film zrealizowany we współpracy kinematografii radzieckiej i amerykańskiej, tych dwóch najbardziej w świecie znaczących. Film firmują też dwie znane wytornie: Lenfilm oraz Twentieth Century Fox. Zdjęcia były kręcone w Związku Radzieckim. Scenariusz na motywach sztuki Maeterlincka pisał zespół autorów: Aleksiej Kapler (jeden z najwybitniejszych scenarzystów radzieckich), Hugh Whitemore i Alfred Hayes, scenografia jest dziełem W. Jurkiewicza, a zdjęcia — Freddie Younga i Jonasa Griciusa. Wreszcie wykonawcy: przemieszały się „gwiazdy" Hollywoodu ze znanymi postaciami kina radzieckiego — Elizabeth Taylor, Ava Gardner, Jane Fonda, Margarita Tieriechowa, Gieorgij Wicyn, Oleg Popow. W tej plejadzie nazwisk błyszczy świeży talent młodziutkiej radzieckiej primabaleriny Nadieżdy Pawłowej, a wdziękiem i świeżością tchną postacie Tiltila odtwarzanego przez jedenastoletniego Todda Lookinlanda oraz jego filmowej siostry Mitil, którą gra Patsy Kensit. Oni są zresztą głównymi bohaterami „Błękitnego ptaka", tej pięknej przepełnionej poezją baśni o poszukiwaniu dobra i szczęścia w świecie, baśni pełnej humanizmu, głębokiej wiary w ich znalezienie.

W poszukiwaniu błękitnego ptaka szczęścia, dzieci ubogiego drwala przewędrują we śnie szereg niezwykłych krain i królestw. Rano po przebudzeniu ofiarują swoją ukochaną błękitną synogarlicę chorej dziewczynce z sąsiedztwa. Nie udało im się odnaleźć we śnie bajkowego „błękitnego ptaka" ale oto na jawie ich synogarlica stanie się synonimem szczęścia i wiary w dobroć człowieka. I będą także Tiltil i Mitil naprawdę szczęśliwi, gdy po fantastycznej podróży obudzą się we własnym skromnym, ale wypełnionym serdeczną atmosferą domu.

Film Cukora charakteryzuje się rozmachem scenograficznym i inscenizacyjnym, dużą rolę odgrywa muzyka i taniec; w „Błękitnym ptaku" dodatkowym wydarzeniem są sceny z udziałem tancerzy leningradzkiego Teatru Opery i Baletu im. Kirowa w układach choreograficznych Igora Bielskiego i Leonida Jacobsona. Barwne widowisko na ekranie zafascynuje na pewno najmłodszą widownię. Ale „Błękitny ptak" niesie w sobie wszak treści głębokie, filozoficzne, ponadczasowe, które równie silnie co fabularna i inscenizacyjna warstwa filmu — przemawiają do dorosłej publiczności.

Zresztą nie po raz pierwszy. George Cukor wspomniał w jednym z wywiadów, że przedstawienie „Błękitnego ptaka" — cieszące się ogromnym powodzeniem — oglądał po raz pierwszy jako kilkuletni chłopiec w Nowym Jorku na początku stulecia. „Kiedy zaproponowano mi nakręcenie „Błękitnego ptaka", przeczytałem sztukę na nowo i byłem zdziwiony jak bardzo jest ona dzisiaj aktualna. (...) Nasycona humanizmem i dobrocią mówi o miłości i nadziei — te same idee inspirują film". W owych czasach, okresie mody na sztuki Maurycego Maeterlincka, jednego z twórców symbolizmu, „Błękitny ptak" odbijający zresztą od wielu sztuk tego autora nacechowanych „bolesnym lękiem" i „smutkiem życia zagrożonego śmiercią" grywany był na światowych scenach szczególnie często i chętnie. Oferował niezwykłe możliwości reżyserowi i inscenizatorowi, pociągał niezwykłością — scenografów. To właśnie w Rosji dał światową prapremierę „Błękitnego ptaka" w 1908 r. Konstanty Stanisławski. Słynną inscenizację Stanisławskiego powtórzył w trzy lata później w Paryżu jego asystent Leopold Sulerzycki. Zachwycano się dekoracjami Władymira Jegorowa i to dzięki nim scenografowie rosyjscy mogli wkroczyć na zachodnie sceny. Maeterlinck był zresztą w ogóle często grywany na scenach rosyjskich i radzieckich, jego sztuki inspirowały i Wachtangowa i Meyerholda. Warto też wspomnieć, że pierwszej ekranizacji „Błękitnego ptaka" dokonano właśnie w Rosji, w 1911 r. i choć dzieło reżysera A. Aleksiewa nie wyróżniało się poziomem od kręconych w owych czasach na całym świecie filmów, to wskazywało na szczególne predyspozycje sztuki Maeterlincka do przełożenia na tworzący się właśnie język kina. Dlatego tak chętnie filmowano w latach późniejszych „Błękitnego ptaka" (ostatni raz Amerykanie w 1940 r. z Shirley Temple).

Jest coś wzruszającego i znamiennego zarazem, że „Błękitny ptak", który siedemdziesiąt lat temu po raz pierwszy rozwinął skrzydła właśnie na scenie rosyjskiej, odżył na planach radzieckich ateliers, jednocząc przed kamerami przedstawicieli tak różniących się wszak w wielu kwestiach zasadniczych kinematografii: radzieckiej i amerykańskiej. Oddajmy głos wykonawcom. Jane Fonda tak mówiła o „Błękitnym ptaku": Sądzę, że doświadczenia zebrane w toku wspólnej realizacji mogą zadzierzgnąć mocne więzy kulturalne między Rosjanami i Amerykanami. Będzie to swoisty wkład w pokojowe współistnienie". A Margarita Tieriechowa jakby uzupełniała wypowiedź amerykańskiej koleżanki: „Błękitny ptak" nie jest jedynie spotkaniem znakomitości. Film umożliwia zaznajomienie się z rozmaitymi szkołami gry. Już samo to jest interesujące. Ale sedno sprawy kryje się, oczywiście, w koncepcji filmu. Jest to niesienie dobra ludziom."

Idźcie do kina i przekonajcie się jak to wypadło na ekranie!

M. D.

POCZTA LITERACKA

Z. K. Jarosław. Przeczytałem te wcale nie wyraźniej po raz drugi napisane 14 stron pańskiego opowiadania po to, by dalej niczego nie rozumieć. Proszę Pana, zakomunikuję Panu na przykład: „Wyszedł na deszcz, po którym cienie spędzone w kąt podwórka podnosiły tajemniczość przedostatniego wieczoru rozjaśnionego atrakcyjnością rozwiązanych dwumianów kwadratowych". Zrozumiał Pan coś? A u Pana to stale. Ani uplasować sobie sytuacji, ani rozszyfrować udziału postaci ani nawet zidentyfikować je. Z grubsza domyślam się: Dorobik kochał Agnieszkę, ona go nie bardzo, dlatego ten postanowił popełnić samobójstwo; rzucił się pod samochód, ale śmierci nie poniósł, natomiast całą cenę zapłacił kierowca, który doznał złamania czaszki. Nawet owszem, jest tu postawiony problem. Ale pozawijał go Pan w takie niejasności, że odwinąć go z nich to nie wiadomo czy nie zniekształcić. Do licha. Jeśli w pierwszej sekwencji jest mowa o rozmowie Agnieszki z Dorobikiem, to skąd ten „śmiech dziewczyny", skoro rozmowa jest o umarłej miłości? Dlaczego Agnieszka patrzy w oczy mężczyzny, który „kogoś przypomina?" Czyżby nie wiedziała, że rozmawia z Dorobikiem? Jest może jakiś inny mężczyzna? Wtedy — kto? I co te ciągłe „Przecież ja..."? Proszę Pana, czuję instynktem starego czytelnika, że samo stawianie problemów psychologicznych jest Pana pasją, może silną stroną. Nie chcę tego przekreślać. Ale postąpił Pan jak malarz, który aby „uatrakcyjnić" obraz przysypał jego konkrety taką ilością kurzu, że pod nim niczego nie widać. Kto wie, czy opowiadania nie należałoby napisać po raz drugi. By uratować problem, który nie zasługuje na zagubienie.

J. L. — Z. Złota. Czy mam coś do zarzucenia? Właśnie nic. Co najwyżej to, że te wiersze przechodzą przeze mnie bez wrażenia. Ale to „co najwyżej" to właściwie wszystko. Powiem od razu: nie widzę powodów, dla których zostały napisane, dlatego nie mogę się o nie spierać. Pan podrzuca spostrzeżonka na temat tego jak rozmnażają się tramwaje (które nie rozmnażają się wcale), że w mieszkaniu Kornela (Makuszyńskiego? Ujejskiego?) nic się nie zmieniło, o której (na dworcu?) zmarł wybitny interpretator utworów Chopina. To są „pstryki", migawki. To nie wyrasta z postawy artystycznej. Bo takiej postawy być nie może. A same wiersze mogą być udane — nie zmienia to postaci rzeczy.

I. S. W-wa. Kto wie, czy klucz do pańskich wierszy nie znajduje się w tym kawałku prozy, który poprzedza list. Czytam i nie bardzo wiem: oryginalność to? nie oryginalność? Coś niby się stało, coś dopomina się o jakieś znaczenie, ale nie bardzo wiem co i jakie. Intuicjonizm plus nadrealizm. A właściwie nadrealizm złączony z metodą ecriture automatique. I ta maniera „waloryzowania" tekstu różnymi „podbrzuszami" („gorącymi gwiazdami nasienia" itp). Co nie oznacza, że nie widzę rzutkości wyobraźni, ale o ileż wolałbym je z pewnym rygorem, z pewnym nakierunkowaniem. Odpowie Pan: „rzecz gustu". Cóż, nie zaprzeczę.

R. W. Starachowice. Wydaje mi się, że pisze Pan zanadto „teoretycznie". To znaczy więcej zważa na formalną poprawność (czy raczej aktualność) tekstu, aniżeli na jego czytelniczy skutek. Jest na to określenie: „poezja oxfordzka". Główny błąd polskiej awangardy polegał na tym, że starała się realizować aprioryczne postulaty. Wyszło tak, że postulaty zostały słuszne, wiersze natomiast bez objaśnień podsuniętych przez samych autorów były nieczytelne. Czyta się dziś Peipera? Brzękowskiego? Czyta się ich autoegzegezy. Jeśli nawet pozostawimy na uboczu słowo „natchnienie", słowo „uczucie" czy słowo „intuicja", jakiś nerw doznawania musi być wyczuwalny. Inaczej będzie tylko udanym ćwiczeniem, poprawnym wykonaniem lekcji.

B. T. Włodawa. Opowiadanie posiada zasadniczy błąd. Zaczyna się jak powieść: w takim tempie, w takim rodzaju pisarskiej realizacji. Ale po tych paru stronach jakby się Pan znudził, albo chciał uniknąć rozwlekłości: rzecz się mechanicznie przyśpiesza. Pozostaje efekt stosowany w filmach, ale w pisarstwie humorystyczny. Humorystyczny mimowolnie — to znaczy przeciw autorowi. Jeden rytm — a z pewnością na przestrzeni tekstu takiego jak — opowiadanie — musi zostać zachowany. Chyba że udanym efektem artystycznym przekona mnie Pan o innej prawdzie.

J. G. Lublin. Oszczędność, oszczędność. Ale nie gazetowa relacja. Ostatecznie i dzieje ludzkości, jak powiedział Conrad, da się streścić do: „żyli, cierpieli, umarli". Powiedział to z przekąsem, a przecież sam się nie zaliczał do gadułów. Trzeba pisać. Trzeba mieć chęć mówienia, a tylko w drodze kontroli eliminować zbędne, mało ważne sformułowania, natomiast zamiar skonstatowania prostych faktów rozmija się z celem artystycznym. Rzeczywistość ludzka bez motywacji psychologicznych jest żadna.

A. G. Sandomierz. Ten nalocik patyny na pańskich wierszach jest bardzo sympatyczny i świadczy o chęci pozostania przy sobie niezależnie od kierunku, w jakim aktualnie idzie moda. Czy da się to publikować? A ciekawe, czy nie warto byłoby zaprezentować kiedyś czytelnikom jakiś obszerniejszy zestaw utworów napisanych tym nieco staroświeckim piórem. Może i jakiś przy tym plebiscyt. W każdym razie nie nakłaniam do zmiany warsztatu, a na odwrót: chętnie jeszcze kiedyś coś podobnego przeczytam.

L. S. Kazimierz. Za dużo rozpaczy, za dużo filozofii. W każdym razie nie może to być kosztem naturalności. Oczywiście — powstanie zaraz kwestia, co jest naturalne w sztuce, która „sztuczność" ma już w źródłosłowie, ale ten spór na nic się nie przyda. Musi być celność artystyczna, a tej nie osiągnie się nadmiarem, naciskaniem pedału. Dobry wiersz to taki, po którym żadna kwestia filozoficzna nie pozostaje.

Szyfrogram (nr 1)

Po odgadnięciu wyrazów pomocniczych należy przenieść do diagramu na miejsce liczb odpowiadające im litery i odczytać rozwiązanie — fragment powieści znanego pisarza francuskiego z XIX wieku. Imię i nazwisko utworzą pierwsze litery 15 początkowych wyrazów pomocniczych. Czarne kratki w diagramie oznaczają koniec słowa, a podwójne — koniec zdania.

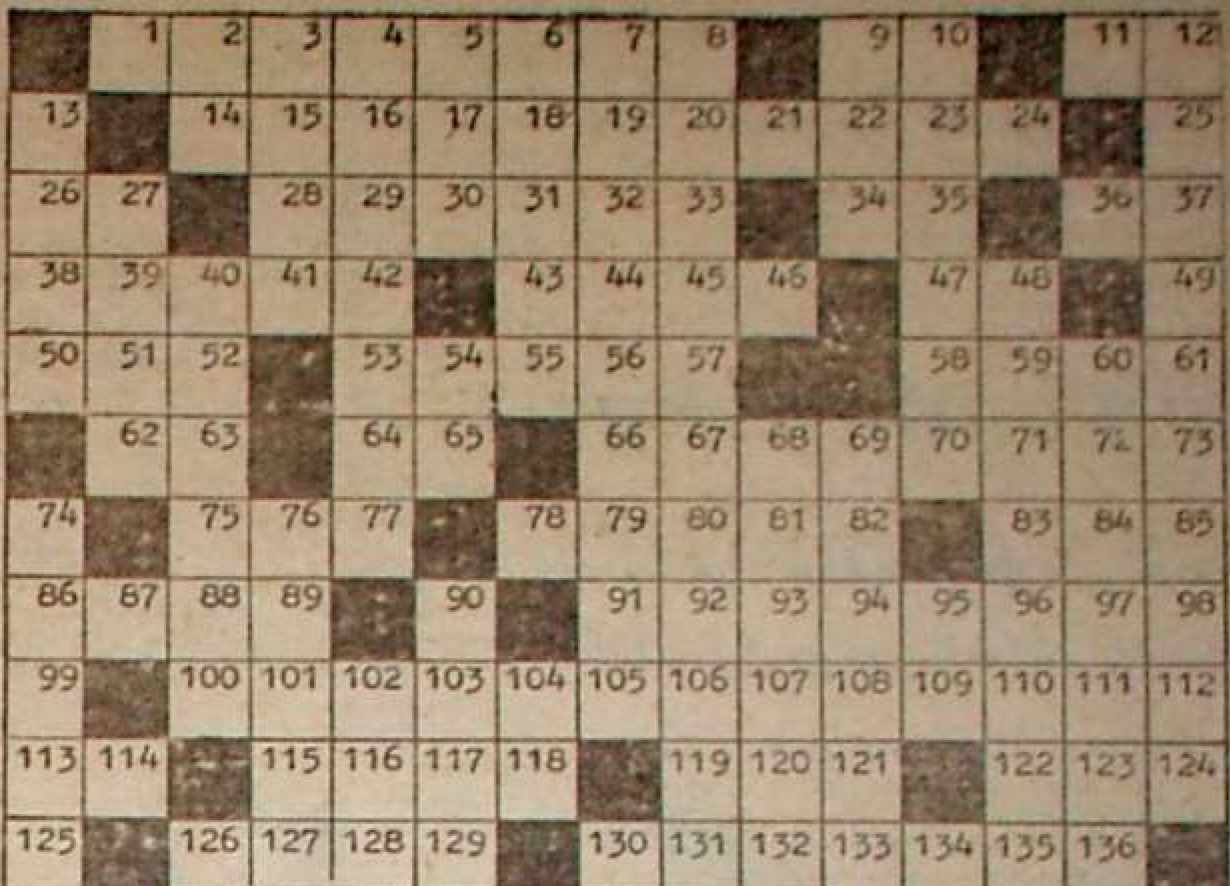

Wyrazy pomocnicze

90. 55. 132. 127. 100. 29 — przepływa przez Bremę.
120. 9. 62. 2. 115. 24. 121. 94 — absolwent politechniki.
117. 5. 136. 16. 54. 101. 85 — pęk włókna do przędzenia.
118. 17. 6. 92. 59. 21. 109 — siedem dni.
129. 18. 1. 27. 49 — oko za oko.
131. 76. 110. 87. 13 — urządzenie do smażenia bez tłuszczu.
114. 112. 38. 19. 102. 7. 119 — mieszka na półwyspie Iberyjskim.
103. 70. 39. 107. 46 — w barszczu lub igle.
128. 33. 73. 82. 22 — fircyk, laluś.
74. 47. 28. 41. 106. 10. 125 — grupa żołnierzy lub młodsza klasa w szkole.
23. 71. 37. 40. 99. 52. 81. 45. 61. 53. 12. 78. 75. 25 — państwo za miedzą.
67. 44. 77. 83. 88 — zimowy sprzęt sportowy.
91. 79. 35. 34 — rzeczka Roztocza przepływająca przez Górecko.
58. 42. 86. 122 — zawody sportowe.
3. 89. 68. 130. 20. 63. 98 — idiota, dureń.
72. 11. 93. 111. 113. 36. 80 — wybór króla w dawnej Polsce.
51. 4. 31. 43. 84 — ziemia uprawna.
105. 48. 69. 97 — eleganckie miejsce w teatrze.
65. 57. 66. 133 — kobza w innych stronach.
60. 95. 30. 104. 124 — lody z owocami.
134. 8. 135. 96 — krzew ciernisty zbliżony do róży.
126. 64. 123. 14. 50. 56 — bohater „Halki".
32. 116. 26. 108. 15 — współczesny kompozytor polski, twórca muzyki do wielu filmów.

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. pocz. 231). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy bony książkowe.

Rozwiązaniem szyfrogramu z nr 25 był fragment „Wyrąbanego chodnika" Gustawa Morcinka:

„W ich pracy wybijał się przede wszystkim rytm. Po przygotowaniu przodka następowało wiercenie, odpały, zrywanie węgla, ładowanie wiercenie odpały, zrywanie..."

Za prawidłowe rozwiązanie szyfrogramu nr 25 bony książkowe po 40 zł każdy wylosowali: Piotr Olszak 24-100 Puławy ul. Wróblewskiego 19/39, Lucjan Rudnicki 22-400 Zamość ul. H. Sawickiej 37 b, Izabella Czerkas 20-335 ul. Łabędzia, Natasza Kruszewska 05-400 Otwock ul. Dzierżyńskiego 43/13.

listy do kameny

„BUBLE NA DŁONI"

W związku z artykułem zamieszczonym w numerze 23 „Kameny" z 13 listopada 1977 r. pt. „Buble na dłoni", opisującym niewłaściwą jakość produkowanych przez Lubelskie Zakłady Eternitu wyrobów, donoszę uprzejmie, że 21 listopada br. odbyła się narada kierownictwa z udziałem aktywu społeczno-politycznego, w trakcie której omówiono stwierdzenia zamieszczone w artykule, podejmując następujące decyzje: zaostrzenie kontroli międzyoperacyjnej w czasie samego procesu produkcyjnego; zwiększenie kontroli produktu finalnego przez dokładne klasyfikowanie na poszczególne gatunki; znakowanie wyrobów datą produkcji; składowanie wyrobów w okresie wstępnego dojrzewania wyłącznie w magazynach celem przyśpieszenia uzyskania wytrzymałości; magazynowanie wyrobów partiami w zależności od daty produkcji z dokładnym oznakowaniem celem wyeliminowania przypadków wysyłki wyrobów niedojrzałych; wydawanie wyrobów tylko po uzyskaniu wytrzymałości określonej PN 71/8 — 14041 a celem zapewnienia utrzymania odpowiedniej jakości płyt — zwiększenie zapasu magazynowego do określonego reżimem technologicznym, tj. 12-dniowego; zwiększenie częstotliwości przeprowadzanych badań jakościowych cementu pod kątem zgodności parametrów z zawartymi pomiędzy Zjednoczeniami Przemysłu Izolacji Budowlanej oraz Przemysłu Cementowego porozumieniami i reklamowanie wszystkich dostaw niezgodnych z ustaleniami; zwiększenie nadzoru kierownictwa przedsiębiorstwa w zakresie przestrzegania dyscypliny technologicznej i dyscypliny pracy poprzez dokonywanie doraźnych kontroli na 2-giej i 3-ej zmianie produkcyjnej; opracowanie programu poprawy warunków pracy, mającego na celu wyeliminowanie prac szkodliwych i ciężkich; wobec wstrzymania budowy nowego zakładu opracowanie koncepcji modernizacji oraz unowocześnienia urządzeń na bazie istniejących.

Niezależnie od podanych ustaleń w roku 1978 przewiduje się przeprowadzenie szkolenia technologicznego robotników zatrudnionych na węzłowych stanowiskach pracy, wprowadzenie zasad wynagradzania w większym stopniu preferujących jakość produkowanych wyrobów i przestrzeganie dyscypliny pracy.

Ponadto donoszę, że na przestrzeni 1977 r. wymieniono wszystkich brakarzy produkcyjnych, obsadzając te stanowiska nowymi pracownikami, przed którymi postawione zostały większe zadania w zakresie przestrzegania jakości produkcji.

Niezrozumiałym natomiast dla nas jest stwierdzenie, że nadal robotnicy i portierzy handlują wódką w zakładzie — żadne kontrole wewnętrzne, jak też przeprowadzone przez MO (którą zainteresowaliśmy sprawą nadużywania przez pracowników alkoholu) nie potwierdzają tych domniemań. Jest to krzywdzące zwłaszcza w stosunku do portierów, których wymiany dokonano w latach 1976/77 na nowych, pracujących bez zastrzeżeń.

Niemniej jednak składam serdeczne podziękowania za wytknięte nieprawidłowości w pracy przedsiębiorstwa, które w codziennym nawale problemów umykają naszej uwadze.

Dyrektor Lubelskich Zakładów Eternitu
Wacław Wiszniowski

LUBLINIANA

W 245 numerze krakowskiego „Dziennika Polskiego" spotkałem poniższe ogłoszenie, które powinno zainteresować czytelników „Kameny":

„W dniu 8 listopada 1977 roku, o godzinie 12.30, w sali nr 25 Collegium Novum, ul. Gołębia 24 — odbędzie się publiczna obrona rozprawy doktorskiej mgra Kazimierza Prusa — pt. „K. A. Jaworski — tłumacz, wydawca i popularyzator literatury rosyjskiej" — (do wglądu w Czytelni Biblioteki Jagiellońskiej).

Promotor: doc. dr Władysław Piotrowski"

Ryszard Służewski
Lublin

ARTYSTA SPOD WŁODAWY

W połowie minionego roku Muzeum Okręgowe w Chełmie urządziło niezwykle interesującą i pożyteczną wystawę dzieł malarskich i rysunkowych Stanisława Zalewskiego członka międzywojennych ugrupowań polskiej awangardy. Ze wstępu dowiedziałem się, że Zalewski urodził się w majątku Perepna koło Włodawy. W związku z tym proponuję, aby jedną z ulic we Włodawie nazwać: ul. Stanisława Zalewskiego. Byle nie byłaby to jakaś ulica peryferyjna kończąca się w kartoflach! Albo może nazwać imieniem artysty przyszłe muzeum włodawskie, które ma być otwarte w zabytkowej synagodze — po zakończeniu jej remontu. Nie ma Włodawa zbyt wielu powodów do chwały, niech zatem skorzysta z okazji. Chełm może nas wyprzedzić, obywatele włodawscy!

Jan Koniuszy
Włodawa

„NASZA GMINA"

W celu poznania wszystkich istotnych procesów — planów, osiągnięć, trudności i perspektyw — zaznaczających się na terenie poszczególnych gmin rozpisano w br. konkurs na pamiętniki i dzienniki „Nasza gmina".

Na liczne prośby konkurs ten przedłużony został do 31 marca 1978 roku. W konkursie mogą uczestniczyć wszyscy mieszkańcy gmin.

W konkursie chodzi o wszechstronne ukazanie dzisiejszych związków między życiem rodzinnym i zbiorowym poszczególnych ludzi — ich praca, nauka, działalność społeczna, czasem wolnym, potrzebami, aspiracjami socjalnymi i kulturalnymi, a funkcjonowaniem gminy jako całości i możliwościami udoskonalenia tego funkcjonowania.

Obok opisów, ocen i postulatów o charakterze pamiętnikarskim — prosi się ponadto o nadesłanie zapisków codziennych z okresu jednego miesiąca życia podczas trwania konkursu. Na życzenie uczestnikom konkursu gwarantuje się pełną dyskrecję i anonimowość.

Dla oceny nadesłanych wypowiedzi pamiętnikarskich powołany zostanie Sąd Konkursowy, który przyzna nagrody w wysokości: I — 25 000 zł, II — 20 000 zł, III — 15 000 zł, IV — 10 000 zł, V — 5 000 zł, oraz 25 wyróżnień po 1 000 zł.

Wypowiedzi pamiętnikarskie — pisane czytelnie, w miarę możliwości na maszynie zaopatrzone w imię, nazwisko (niezależnie od ewentualnego godła) dokładny adres oraz dane o wieku, wykształceniu, zawodzie, stanowisku, (u rolników — o obszarze gospodarstwa), odległości wsi od siedziby gminy — nadsyłać należy pod adresem: Instytut Rozwoju Wsi i Rolnictwa PAN, ul. Zielona 18, pok. 407, 00-108 Warszawa z dopiskiem: „Nasza gmina".

Pismo Lubelskiego Oddziału Związku Literatów Polskich
Założyciele Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski

Redaguje zespół: Maria Bechczyc-Rudnicka, Jerzy Dostatni, (sekretarz redakcji), Tadeusz Gwardak (z-ca red. naczelnego), Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunt Mańkowski, Zygmunt Mikulski (kierownik działu literackiego) — członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Mirosław Derecki, Tadeusz Jasiński, Ireneusz J. Kamiński (kierownik działu publicystycznego) i Maciej Podgórski. Redaktor techniczny — Irena Komosa, korektor — Ewa Dybek.

Prenumeratę na kraj przyjmują Oddziały RSW „PRASA—KSIĄŻKA—RUCH" oraz urzędy pocztowe i doręczyciele — w terminach:
— do 25 listopada na styczeń, I kwartał, I półrocze roku następnego i na cały rok następny,
— do dnia 10 miesiąca, poprzedzającego okres prenumeraty na pozostałe okresy roku bieżącego.

Cena prenumeraty rocznej — 78.—

Jednostki gospodarki uspołecznionej, instytucje i organizacje społeczno-polityczne składają zamówienia w miejscowych Oddziałach RSW „PRASA—KSIĄŻKA—RUCH".

Zakłady pracy i instytucje w miejscowościach, w których nie ma Oddziałów RSW oraz prenumeratorzy indywidualni, zamawiają prenumeratę w urzędach pocztowych lub u doręczycieli.

Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę, która jest o 50% droższa od prenumeraty krajowej przyjmuje RSW „PRASA—KSIĄŻKA—RUCH" Centrala Kolportażu i Wydawnictw ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto PKO nr 1531-71 w terminach podanych dla prenumeraty krajowej.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty. Kierownik działu literackiego przyjmuje interesantów w poniedziałki i piątki w godz. 14—16.

Wydawca RSW „Prasa-Książka-Ruch" Lubelskie Wydawnictwo Prasowe, Lublin, ul. Jasna 6. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN. Unicka 4. Zam. 3328. J-4.

Numer łamał Mieczysław Psujek, drukował zespół pod kier. Stanisława Wielgosa

Adres redakcji 20-029 Lublin, ul. Skłodowskiej 2/1

Nr indeksu 36251

Telefony: sekretariat, redaktor naczelny 255-93, sekretarz redakcji 218-93, z-ca red. nacz., dział publicystyki i literacki 275-35.

Korespondencje zwykłe prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin 1, skrytka pocztowa 231; polecone i ekspresowe — pod adresem redakcji.

czas. 2552/1978/1

• POLEMIKI •

Jak budujemy swój pomnik?

CHCIAŁABYM nawiązać do drukowanego w poprzednim numerze artykułu J. K. Miśca o turnieju poetyckim organizowanym w Swidwinie. Byłam na imprezie finałowej i tam właśnie zrodziło się kilka refleksji, którymi pragnę się podzielić.

Ostatnim punktem programu było spotkanie seminaryjne. Poprzedziły je referaty J. Kryszaka i A. K. Waśkiewicza. Obaj mówcy opanowali problem doskonale, ich słowa zresztą przedtem powielono i rozprowadzono wśród uczestników, zalecono referaty przeczytać. Ale... To, co Kryszak i Waśkiewicz powiedzieli, nie stanowiło zawiązania dyskusji, sądy były bowiem zbyt apodyktyczne. W wypowiedziach zabrakło kilku niesłychanie istotnych zwrotów: „moim zdaniem..." „myślę, że..." itp. Przedstawiciel Gdańska stwierdził, że na jego „podwórku" dzieje się coś wręcz przeciwnego, niż to, co reprezentowali krytycy. Opozycja przeciwko nim rozszerzyła się. Nastąpiła rozbieżność między treścią dyskusji a tym, co pierwotnie zaplanowano. Obserwowaliśmy bunt przeciwko poszczególnym stwierdzeniom z referatów.

Seminarium minęło się z celem w samej formie. Trudno jest poruszać problemy poezji nie wychodząc z kręgu teorii. A przecież poprzedniego dnia była doskonała okazja do nauczenia się czegoś. Krąg poetycki... Niestety, młodzi poeci przyszli, zasiedli za stołem, odczytali coś swojego, wstali i odwieziono ich do miejsc zamieszkania. Pomyślałam wtedy, że taka impreza to strata czasu. Przecież równie dobrze mogłabym te utwory sama przeczytać! Miałabym wówczas czas na zastanowienie się, bo, tempo odczytywania utworów nie pozwalało na to. Błąd ten zauważyło i odpowiednio skomentowało wielu obecnych. Niektórzy po powrocie do miejsca noclegu zamprowizowali swój własny niestety mały krąg. Taki z zażartą dyskusją!

We wspomnianych wyżej referatach Kryszak i Waśkiewicz próbowali rozwiązać wiele problemów. Zajęli się też sprawą pokoleń. W tym momencie przestraszyłam się. Dla mnie termin „pokolenie" prawie pokrywa się z „okresem literackim". Wspólny program, wspólne spojrzenie na świat i na jego problemy... W Swidwinie, w czasie słuchania referatów i wypowiedzi, straciłam rachubę pokoleń. I to tylko tych z ostatnich lat! Wymieniano ich tyle, że zaczęłam się zastanawiać, czy to już wszystkie? Moim zdaniem takie doszukiwanie się i określanie pokoleń to po prostu mania wielkości. Bo jakie zaryzowały się pokolenia w ciągu ostatnich lat? Faktem jest, że im wcześniejsza historia, tym krótsze okresy panowania jednej idei, tym gwałtowniejsze poszukiwania. Ale czy nie za daleko się posuwamy, przyznając sobie rolę aż tak wydajnych twórców, którzy tak często robią przewrót w literaturze?

Epokę można ocenić po jej zamknięciu się. Wtedy można też określić jej „twarz". A czy nasza epoka rzeczywiście się skończyła? Czy znaleźliśmy coś nowego? Nie. Naszym zadaniem na teraz jest szukanie i budowanie, a nie zagłębianie się w teoretycznych sporach i traktowanie samych siebie jak historię!

Nie próbujmy już teraz budować swojego pomnika, a raczej jak mi się wydaje, nagrobka!

Anna G. Kister

P.S. I jeszcze jedno. Ale to już nie dotyczy twórczości, lecz jest związane ze „składką" na pomnik, tym razem indywidualny. W Swidwinie uderzało mnie zachowanie niektórych dyskutantów. Kiedy już zaatakowali przeciwnika, pewni nieodpartości swych argumentów, siadali wygodnie i z ironicznym uśmiechem rozglądali się wokoło. Jak gdyby szukali poparcia dla tego uśmiechu. Myślę, że to po prostu brak szacunku dla przeciwnika, niezwracanie uwagi na „tego z naprzeciwka", jak na człowieka, który coś żywo odczuwa i wierzy w to, co jest dla niego prawdą. Po prostu ustawianie się na piedestale i to tym wyższym. Chyba było to niepotrzebne.

A. G. K.

Od redakcji: Autorka tych słów w tym roku szkolnym zdaje maturę. Może dlatego spojrzenie jej jest niekonwencjonalne...

Bogusław Wieczorek

MYŚLI

Problem: sytuacja bez wejścia.

•

I ludzie bez serca przechodzą zawały.

•

Drepcząc w miejscu zajść można wysoko.

•

Najtrudniej oczernić zmieszanych z błotem.

•

Pole do popisu też powinno być zagospodarowane.

•

Im szersze plecy, tym węższe horyzonty.

•

Jedni orzą nosem, inni chowają nie tylko nos, ale całą głowę w piasek.

•

Zdarza się, że goły rozdziera na sobie szaty.

•

Nie rzadko indywiduum uważa się za indywidualistę.

•

Bałwany są groźne nie tylko na morzu.

Casanova Pamiętniki

rys Krystyna Wójcik